



36
**KONKURS
LITERACKI
LIMESU**

**UTWORY
NAGRODZONE
I
WYRÓŻNIONE**

ISBN 978-83-7051-727-4

Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny

w Siedlcach

Uczelniany Ośrodek Kultury

36 Konkurs Literacki LIMESU

utwory nagrodzone i wyróżnione

Siedlce, 2013

Wydawca:
Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach
Uczelniany Ośrodek Kultury

ISBN 978-83-7051-727-4

Konkurs odbywa się pod patronatem
Prezydenta Miasta Siedlce.

Impreza promocyjna zorganizowana
przy życzliwej współpracy
Domu Pracy Twórczej „Reymontówka” w Chlewiskach

Okładka, koncepcja graficzna i typograficzna oraz skład:
©Jolanta Szymczyk

PROTOKÓŁ
Z POSIEDZENIA JURY
XXXVI KONKURSU LITERACKIEGO LIMESU
W DNIU 1 PAŹDZIERNIKA 2013 R.

Jury w składzie:

Włodzimierz Pawłowski – przewodniczący

Sylwia Flis

Dawid Półrolniczak

Tadeusz Goc – sekretarz

po rozpatrzeniu nadesłanych prac w kategorii prozy i poezji postanowiło przyznać:

w kategorii prozy:

II nagrodę – Edwardowi Derylakowi, ps. „Kamieniarz”, z Żagania

III nagrodę – Alinie Mendrali, godło „Trojan”, z Siedlisk,

wyróżnienie – Agnieszce Pogorzelskiej, godło „Spokoój”, z Warszawy;

w kategorii poezji:

II nagrodę – Maciejowi Rzymskiemu, godło „Psyche”, z Łodzi,

III nagrodę – Lechośławowi Cierniakowi, godło „Mak”, ze Słupska,

wyróżnienia:

- Izabelli Degen, godło „Gala” z Wrocławia,

- Annie Piłaszewskiej, godło „expressis verbis”, z Wieliczki,

- Edycie Wysockiej, godło „Cienie”, z Miastka.

Ponadto Jury zwróciło uwagę na prace opatrzone godłami:

„Okno” (Wanda Gołębiewska, Płock), „Vers” (Maciej Łopuszyński, Warszawa), „Andrzejch” (Andrzej Chodacki, Parczew), „Wiercipięta” (Marianna Spyra-Majewska, Siedlce) i „Markus” (Henryk Szomko, Siedlce).

Siedlce, 1.10.2013 r.

(Podpisy Jury na oryginale protokołu)

XXXVI OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI KLUBU STUDENCKIEGO „LIMES”.

SZKIEŁKA NA PIASKU.

Zmieniają się fascynacje, przemijają pokolenia, pojawiają się nowe zjawiska w literaturze i otaczającym świecie, aranżacja przestrzeni i wystroju Klubu Studenckiego „pe-HA”... W takim miejscu jak „pe-HA” czy „Limes”, czas odczuwa się inaczej. Jedni występowali okazynie, inni cyklicznie, niektórzy po studiach wracali na scenę albo można było o nich usłyszeć czy przeczytać w mediach. Byli i tacy, których drogi rozeszły się ze sztuką i całkowicie pochłonęła ich codzienność, którą niegdyś przywoływali w swojej twórczości. Co niezmiennie to to, że kiedy ma się kontakt trwały ze sztuką, nabiera ona wraz z nim, kształtu i wyrazistości. Na tym obszarze, czas działa na korzyść. Do pewnych tematów trzeba dojrzeć, z innymi się pogodzić i je zaakceptować, jeszcze inne nabierają nowego znaczenia. Jeśli jest stagnacja, błędy te same, monotonia i powielanie szablonów, brak możliwości na spełnienie i wyklarowanie się talentu. Zawieszenie w sztuce, jest czymś nietypowym, ponieważ wiąże się ona z pojmowaniem i odczuwaniem rzeczywistości i siebie samego. Niemożnością jest, by nie zachodziły przemiany w zakresie intelektualnym oraz emocjonalnym. Może to świadczyć jedynie o tym, że wciąż kokietuje się stałą grupę odbiorców i otrzymuje się w zamian aplauz. Są tacy, którym to w zupełności wystarcza. Można o nich mówić, że szukają jedynie aprobaty i poklasku. Stosują te same triki, które im to zapewniają. Na

lokalnym gruncie, zawsze są rozpoznawalni i nie odczuwają potrzeby zmian, ponieważ podtrzymują zainteresowanie ich twórczością. Czy dla nich są konkursy literackie? Owszem, ale lokalne. Ogólnopolskie, odbierają im możliwość „błyszczczenia” i „twórczego zasiedzenia” czy stagnacji, poczucia posiadania uznania i aprobaty na wyłączność. Tu nie oni oceniają, tylko są oceniani. Ich twórczość, jest rozdrabniana i oceniana obiektywnie i skrupulatnie, zestawiana z innymi, wystawiana na konfrontację. Ogólnopolski konkurs, w dodatku poparty autorytetem i rangą Uczelni, wymaga wiele wysiłku zarówno od jury jak i od nadsyłających swoje zgłoszenia. Tu nie ma mowy o pobłażliwości. Trudno bowiem zaakceptować coś, co zostało stworzone przy niewielkim nakładzie pracy, byle jak, od chcenia i niechcenia, z przypadku, bez kreślenia i przemyśleń, odnoszenia się do dziedzictwa, czerpania z tradycji i terminowania pod okiem mentorów. Z jednej strony wiedza, z drugiej mozolna praca nad warsztatem. O talencie nie trzeba pisać, ponieważ to kwestia fundamentalna. To talent jest „limesem” (granicą), oddzielającą twórczość „laurkową” od sztuki. Pewne fragmenty „Hymnu o Miłości” św. Pawła (1 Kor 13, 1-13), można również odnieść do sztuki. Bez talentu, nawet najbardziej „wymęczony” i „wymuskany” tekst, jest tylko szkicem czy „notatnikowym zapiskiem”. Niektóre cechy miłości, jak: cierpliwość, można przypisać twórcy. Ma on świadomość, że wszystko ocenia w trackie i po czasie, z dystansu. Można więc zaczerpnąć wyznanie św. Pawła i przypisać je twórcy: „Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany”. Rozumie on, że tworzy przez całe swoje życie i dąży do spełnienia, którego może nie zaznać przed śmiercią. Tak jak miłość u św. Pawła, sztuka nie zazdrości, a więc ceni sobie

indywidualizm oraz współistnieje obok innych. Każdy autor ma swoich odbiorców i rywalizacja wtedy miałaby sens, gdyby identycznie pisali i tak samo oddziaływali na tą samą publiczność. Nie jest to chyba możliwe, chyba że w czyjeś paranoidalnej i zaburzonej świadomości. Jak miłość, „nie szuka poklasku” i „nie unosi się pychą”. Tworząc, autor czuje radość płynącą ze swego zajęcia lub ulgę, że zdjął ze swojej wrażliwości ciężar i oddał go kartkom papieru. Niemniej jednak, ma swoje aspiracje, cele i potrzeby. Wie, że wielu przed nim, nie doczekało się uznania za życia. Przecież na tyłu był imprezach jubileuszowych twórców, których od wieków nie ma i to ich twórczości, nie im samym, publiczność okazywała swój podziw. Zostaje twórczość, która niejako przedłuża istnienie twórcy. Fizycznie już go nie ma, jednak trwa w pamięci i emocjach, kolejnych pokoleń. Jak miłość, sztuka „wszystko znosi”. Gromadzi w sobie zapis różnorodnych przeżyć i odczuć, refleksji, utrwała i trwa mimo upływu czasu. Nawet najbardziej drastyczne kolizje dziejowe, nie są w stanie jej unicestwić. Niech przykładem będą literackie obrazy konfliktów czy życia obozowego. Ludzi już nie ma, ich twórczość jest. Można do tego odnieść prozę, którą jury konkursu postanowiło nagrodzić II miejscem. W obecnej edycji konkursu, w kategorii prozy, najbardziej żywe dyskusje toczyły się wokół zgłoszonego opowiadania o tematyce polsko-niemieckiej . Polskiej, ponieważ na terenie Polski. Niemieckiej, dotyczącej kwestii mniejszości niemieckiej reprezentowanej przez osobę, która stopniowo uświadamia sobie zanikanie wokół niej tego, co jej najbliższe. Wśród poetyckich prac, dominowały zestawy o ciekawych i rokusujących fragmentach. Trudno jednak było wyłonić zestaw, który by wykazywał pewną dojrzałość twórcy, wiedzę, pracę nad

warszatem, świadomość kształtu własnego stylu i wytyczonych zadań czy roli w historii literatury oraz odniesienia do rynku piśmienniczego i wydawniczego. Stąd, jury przyznało II miejsce. Pierwsze, w tej edycji nie zostało przyznane. Można powiedzieć, że większość została zauważona, w sposób bardziej lub mniej intensywny. Niektóre utwory wymagały dłuższej analizy i zastanowienia, inne nie stanowiły zwartej i przemyślanej całości ale za to, ich fragmenty zapadały w pamięć. Konkurs ma na celu wyłonienie tych, którzy w szczególny sposób wyróżnili się spośród innych, talentem i warszatem. Nie oznacza to, że autorzy niewymienieni w „pokłosiu”, nie istnieli w dyskusjach czy indywidualnych przemyśleniach. Autor, prędzej czy później osiągnie taki poziom, kiedy zacznie dawać przykład innym i będzie im pomagać swoją twórczością, odnaleźć kształt ich własnej. Wpierw się terminuje, dopiero później uczy się innych. Jeśli naprawdę chce się wnieść coś od siebie do dziedzictwa, to będzie się pracować do końca i pomimo wszystko. Jeśli chce się jedynie zabłyszczeć, to temu konkursy nie służą. Mają one na celu dać impuls do zaistnienia poza lokalnością, wyjścia dalej, podjęcia próby publikowania w prasie literackiej czy wydania książki. Każda twórczość ma swoich odbiorców, o których się wie lub o których dopiero się dowie lub też, uznania i zachwyty których się nie fizycznie nie doczeka. Trzeba być cierpliwym i stopniowo pracować nad tym, by pozostawić po sobie jakąś część w ogólnym dorobku literatury.

Dawid Półrolniczak

UMARŁE MIASTO

Ernst Wedelmann stał na werandzie przy oknie i bezmyślnie wpatrywał się w ogród. Zmierzch opadał na gałęzie drzew - dzień dogasał, powietrze unosiło jeszcze resztki ciepła. Obok za płotem Günter grabił pierwsze tej jesieni liście, spoglądał raz po raz w stronę domostwa sąsiada. Może chciał pogawędzić. Jednak Ernst nie był dzisiaj w nastroju do rozmów, nawet z poczciwym krawcem, który szył garnitury połowie lewobrzeżnej części miasta. Poczekał aż tamten skończy.

Teraz nikt nie będzie go niepokoił - pomyślał, klękając na podłodze na jedno kolano. Najlepsze lata miał już za sobą, sądził jednak, że poradzi. Nie brał pod uwagę czyjejś pomocy - sąsiada czy gospodyni. Chciał to zrobić sam. W skupieniu, bez zbędnych pytań, współczujących spojrzeń. Wsuwając delikatnie dłonie pod spód nie czuł przyjemnego ciepła. No tak, przecież minęło kilka godzin od południa, ciało zaczęło sztywnieć, stygnąć. Podniósł się z trudem. Po obu stronach zgiętych ramion bezwładnie zwisały doczesne szczątki zwierzęcia - jego Hassana. Stąpając ostrożnie pokonał trzy stopnie schodów. Szedł powoli, ciężko oddychał; sztywne nogi pupila obijały się o jego nogi. W zakątku ogrodu przyklęknął, opuścił omdlewające ramiona i ostrożnie ułożył przyjaciela na trawie. Potem przyniósł szpadel i białe prześcieradło. Zaczął kopać, ciężko dysząc. Przychodziło mu to z trudem: niezręcznie, nienawykłymi do takiego narzędzia rękami, wbijał ostrze w wyschniętą ziemię. Odpoczywał i trudził się dalej. Wierzchem rękawa ocierał z czoła pot. Gdy dół był już gotowy - wystarczająco głęboki, by

psy czy koty nie wygrzebały - zawinął w prześcieradło czworonoga, złożył na skraju prostokątnego otworu, na usypisku z czarnoziemiu, potem zepchnął delikatnym ruchem. Głuche uderzenie odczuł boleśnie, jakby spadł sam.

I ty mnie zostawiłeś! - powiedział szeptem, a zabrzmiało jak „I ty Brutusie”, ale bez przerażającego zdziwienia, żalu. Hassan był stary, przed dwoma miesiącami skończył szesnaście lat.

Wedelmann stał i patrzył, tylko myśli biegingy: „Odszedłeś jak wszyscy, jak Peter, Hans... - przeszył go dreszcz, przecież on żyje, na pewno żyje, tylko daleko stąd, tłumaczył sobie. - Potem Emma”.

Wiadomość o jej odejściu przyjął nad wyraz spokojnie. Tak naprawdę to Emma odeszła dużo wcześniej. Odchodziła powoli, stopniowo, choć na pozór nic się nie zmieniało: mieszkali razem, wspólnie spożywali posiłki, uczestniczyli w niedzielnych nabożeństwach, a nawet odbywali, jak dawniej, niedzielne spaceru do Zielonej Doliny. To oddalanie się narastało od pamiętnego września, gdy Goering zapewniał, że jego Luftwaffe położy wyspy na kolana - ale nie położyła. Któregoś dnia przyszło natomiast dwóch wojskowych z Flugplatz-Kupper; przynieśli wiadomość i list kondolencyjny od wodza, i kilka osobistych rzeczy: portfel, fotografie rodziców, zegarek, kieszonkowy kalendarz i jeszcze parę drobiazgów. Ernst pierwszy raz poczuł, że odeszła część jego samego. „Nie ma ich syna! Już nie napisze do nich listu, nie zobaczy jego śmiejącej się twarzy...” - nie mógł pogodzić się z myślą, że to prawda. Szczęka mu drgała, zęby dzwoniły. Mając przed sobą leżące na

stole przedmioty, które przed kilkoma dniami należały jeszcze do Petera, Emma powiedziała do Ernsta - oczy miała suche, usta zaciśnięte bardziej niż zawsze - powiedziała, że jest dumna z ich Peterka. Tak nazywali młodszego syna, gdy był małym chłopcem. „Jak można być dumnym ze śmierci syna?!” - nie mieściło mu się w głowie.

Wedelmann dokładnie pamiętał tamto spojrzenie, jakby to było przed czterema tygodniami, a nie czterema laty. Nigdy nie miał wątpliwości, że zawarta w nim była pogarda dla jego słabości. Zdał sobie sprawę, pierwszy raz w życiu, że już nigdy nie będzie tak jak było. Wszędzie widział puste miejsca po Peterze. Jego pokój. Żaden mebel, nawet najdrobniejsza rzecz nie została przestawiona od czasu, gdy poszedł na wojnę. Zatrzymał się przy fotografii stojącej na komodzie. Osiemnastoletni Peter w białej sportowej koszulce, uśmiechnięty, z rozwianymi na wietrze włosami i wzrokiem utkwionym w dal stoi wsparty na skrzydle szybowca. Niemymi ustami złożył pochyłe, nienaturalnie rozciągnięte wzdłuż białego kadłuba litery - „Grunau Baby”. Odwrócił ramkę z fotografią, odczytał tekst napisany zamasytym pismem: *Ich bin flugzeigfuhrer. Den Eltern. Peter. Poniżej: Grunau bei Hirschberg, 5. 07. 1931 Jahr.*

Może ostry gwizd lokomotywy z pobliskiego dworca wyrwał Wedelmanna z zadumy, bo pewnymi ruchami wrzucił ziemię do dołu, na wierzchu ułożył przygotowane wcześniej otoczaki i sapiąc, wsparł się ramionami na stylisku szpadla. Usłyszał za sobą kroki. To Gertruda zaniepokojona przedłużającą się jego nieobecnością wyszła do ogrodu.

Przy kolacji widząc zasmuconą twarz dyrektora i nie mogąc znieść przedłużającego się milczenia, usiłowała go pocieszyć.

- To tylko pies... - urwała w pół zdania zgromiona przeszywającym spojrzeniem.

- To był Hassan!

W gabinecie na piętrze Wedelmann zanurzył się głęboko w fotelu przy oknie i pograżył w zadumie, na kolanach spoczywał oprawiony w bordową skórę opasty tom. Dwa podobne leżały na ciemnym blacie okrągłego stolika. Zapatrzył się na ścianę zastawioną regałami od podłogi do sufitu. Książki gromadził całe życie. Zamknął powieki, z łatwością mógł określić jaka gdzie się znajduje. Sprawilo mu to chłopięcą przyjemność i z niczym nieporównywalną radość. Półka po półce oczami pamięci jak dłońmi obmacywał ulubione, ze śladami palców na obwolutach, woluminy. Z sobie tylko znanych powodów jednym poświęcał mniej chwil, tego zamyślenia, innym więcej.

Doznał nieodpartego wrażenia, wspominając wieczór, że ma za sobą kolejną przegraną partię w skata - ulubionej gry z młodych lat. Że znowu dzisiaj coś się skończyło, bezpowrotnie minęło. Hassan, tak, myślał teraz o psie. Zawstydził się porównania. Stawiać w jednym rzędzie pamięć o Peterze, Emmie i psie?! Ale to jego odejście dzisiaj dotknęło go najbardziej. „Jedynym absolutem jest zmiana” - wspomniął znaną frazę, lecz bólu nie ukoila. Otworzył oczy. „Tutaj nic się nie zmieniło od lat”. Gabinet wyglądał jak na początku, kiedy z Emmą nabyli ten dom - tylko z każdym rokiem przybywało jego ulubionych

książek. Omiótł wzrokiem spowite ciemnościami wnętrze - blask latarni ulicznej na Worbstrasse łągodził ich gęstość.

Ernst Wedelmann, dyrektor miejscowego Królewskiego Gimnazjum, przywoływał odległy czas, zdarzenia, postaci, których twarze coraz bardziej tonęły w mgłę niepamięci.

Emma. Kobieta, która zniknęła z jego życia tak nagle i niespodziewanie jak się pojawiła. Wchodziła wieczorami do gabinetu. Stawała za jego plecami, opiekuńczym gestem kładła mu dłonie na ramionach. Czekwała cierpliwie aż skończy czytać albo pisać. On odwracał głowę, uśmiechał się, obdarzał ją ciepłym spojrzeniem. Ona pieszczotliwie dotykała jego policzka. Tak dokładnie pamiętał szczegóły, wyraz jej twarzy, dołeczki, gdy się śmiała. Albo inny obraz. Z czasów, kiedy chłopcy pisali listy do domu. Emma czytała mu na głos. Siadała w fotelu przy oknie i raz po raz podnosiła głowę znad kartek papieru. Spoglądała na niego błyszczącymi radośnie oczami. Potem zostawiała go samego. Obrazy jakie Wedelmannowi jawiły się przed oczami nie przypominały konkretnych zdarzeń, to raczej wiele z nich przenikało się wzajemnie, tworząc nowe, istniejące teraz tylko w jego pamięci. Porzucił rzeczywistość, zamykając oczy. Pod powiekami wciąż widział jeszcze dziewczynę z długimi włosami przed wejściem do muzeum przy Sophienstrasse. Stała zrozpaczona z butem ze złamanym obcasem w ręku. Zagubiona i niezdecydowana. Zaoferował pomoc. To był impuls wywołany pewnie opadającymi na ramiona blond włosami. Wziął z jej ręki przedmiot zmartwienia i zawahał się niezdecydowany. Po chwili wspólnie udali się na poszukiwanie szewca. Mieli szczęście. W ciasnej uliczce trafili

na solidnego rzemieślnika, który od ręki zobowiązał się przymocować obcas. Naprzeciw znajdowała się kawiarenka z kilkoma stolikami, i tam zawarli bliższą znajomość. Po trzech latach Emma Beseler, dziewczyna z konserwatywnej niemieckiej rodziny z wojskowymi tradycjami, została jego żoną. Zamieszkali w domu jej rodziców. Wkrótce urodził się Hans, potem Peter, a potem ich ojciec poszedł na wojnę. Nie nawojował się długo. Pozostała mu jednak pamiątka - krótsza o dwa centymetry prawa noga. Po Wielkiej Wojnie opuścili Drezno i znaleźli niewielkie miasteczko nad Bobrem, gdzie Wedelmann przyjął posadę nauczyciela w miejscowym Gimnazjum Królewskim.

Zanim jednak to wszystko się wydarzyło, Ernst - wysoki i szczupły absolwent wydziału historii berlińskiego uniwersytetu pochodzący z drobnomieszczańskiej rodziny - ojciec był właścicielem niewielkiej restauracji - musiał złożyć wizytę rodzicom Emmy.

Słyszał, że jej ojciec dowodzi pułkiem dragonów badeńskich w Karlsruhe, a dwaj bracia, Erich i Kurt, byli oficerami. Dziadek i pradziadek, których portrety wisiły w salonie ich rodzinnego domu w Dreźnie, też byli oficerami. Ernst szybko zapomniał ich stopnie, nazwy jednostek, czy - jak w przypadku dziadków - nazwy bitew, w których wykazali się bohaterstwem zdobywając coś czy ratując kogoś. Emma szczegółowo mu to wszystko opowiadała, ale jemu wszystko się pomieszało: stopnie, jednostki, bitwy, ordery...

Odległe zdarzenia miał zacierać się w pamięci, nabierały ostrości pielęgnowanej wspomnieniami, wielokrotnymi

powrotami do nich. Jednak od tego czasu, od pamiętnej, pierwszej wizyty w rodzinnym domu Emmy dzieliły go wieki. „Kiedy w Emmie odezwały się uspięne przez lata geny przodków? Kiedy instynkt macierzyński ustąpił miejsca uczuciu patriotycznego obowiązku? - zastanawiał się Wedelmann. - Gdy chłopcy poszli na wojnę, czy wtedy, gdy oni otrzymali wiadomość o śmierci Petera?” Nie uroniła ani jednej łzy, nie zadrgał jej żaden mięsień na twarzy bez wyrazu, bez uczuć. Wyrachowane, zimne spojrzenie, I te usta - zaciśnięte w oporze, w zacięciu jakimś. Wtedy zrozumiał, że obok niego jest inna kobieta. O innej osobowości, niż ta, której obraz tak wyraźnie tkwił w jego pamięci - zakłopotana, z butem ze złamanym obcasem w ręku.

Rytmiczny stukot żołnierskich butów o bruk obcych miast, rozrywające się pociski i spadające bomby widziane w kronikach filmowych w kinie Apollo były bardzo odległe od ich spokojnego miasteczka. Głos spikera, pewny i optymistyczny, dawał siłę i wiarę, widzowie mogli być dumni z przynależności do wielkiej Rzeszy. Emma będąc pod wrażeniem obejrzanych kronik mówiła: „Ofiara Petera nie była daremna. Tylu młodych Niemców oddało życie za ojczyznę...”. Jej głos brzmiał tak patetycznie, tak wzniosie, aż nienaturalnie. Mówiąc unosiła lekko podbródek, przeżyła się i zastygała na ten czas w bezruchu.

Pewnego wieczora Wedelmann, pracując w swoim gabinecie - radio brzęczało ściszym głosem - usłyszał zapowiedź specjalnego komunikatu. Nie był to stały czas relacjonowania wojennych wydarzeń.

Od miesiący, odkąd Hans służył w sztabie ósmej armii feldmarszałka Paulusa, nie mieli od niego wiadomości. Teraz Ernst uniósł się z krzesła i podkręcił gałkę wystużonego radia. Usłyszał podniosły głos spikera zapowiadający przemówienie führera. Przemówił. Zaczął ostro, grzmiącym, przepętnionym oburzeniem głosem. Łajał całą ósmą armię. Żołnierzy nazwał tchórzliwymi szczurami. Nie oszczędził poszczególnych dowódców. Na deser zostawił samego feldmarszałka - zdegradował go do szeregowca i zaocznie skazał na śmierć. A wszystko dlatego, że oddał w niewolę, ratując im życie, trzysta tysięcy żołnierzy. Ernsta przeszył chłód. Wyłączył radio. Cisza była głośniejsza, a może myśli rozbijały się z hukiem wybuchających bomb. Wtedy wpadła Emma. Dokładnie tak - wpadła, a nie weszła. Podekscytowana, rozpromieniona, machająca rękami niczym wiatrak. Zatrzymała się na środku gabinetu. Wsparała ręce na biodrach i nie przebierając w słowach nawymyślała Paulusowi. Jakby zapomniała, że ich syn dzięki temu pewnie żyje. Przy tym nawet nie wymieniła imienia Hansa.

Od tamtego pamiętnego wieczora wszystko już było nie tak jak dotychczas. Z Emmą widywał się coraz rzadziej. Jakby obydwójce unikali spotkań. Rano spała, gdy on wychodził do gimnazjum, a kiedy wracał, w milczeniu jedli obiad, potem zamykał się w swojej enklawie, wśród książek, notatek i pisania. Obydwójce nie wchodzili sobie w drogę. Tylko niedziele przebiegały zgodnie z utrwalonym od lat rytuałem: poranne wyjście na nabożeństwo do kościoła Łaski i popołudniowe letnie wyprawę do Zielonej Doliny, za miasto.

„Gdzież są tamte spacer...?” -z rozrzwinieniem wspominał Wedelmann. Całe rodziny wędrowały za miasto. Panowie dystyngowanie, w kapeluszach, niektórzy z laską, panie w przewiewnych długich sukniach, skrywały się pod kolorowymi parasolkami, z fantazyjnymi falbanami. Emma wspierała się na jego ramieniu, chłopcy szli kilka kroków przed nimi.

Zbliżając się do celu, narastał gwar rozmów, krzyk dzieci. Tutaj panowie raczyli się piwem, panie lemoniadą, dzieci lodami i cukrową watą. Panowie w swoim gronie dyskutowali o interesach, panie plotkowały, mówiły o dzieciach, żartowano; młodzi zazwyczaj flirtowali. Lecz to już przeszłość, a obraz wesołego biesiadowania pozostał tylko w pamięci Wedelmanna. „Może po wojnie...” – z nadzieją myślał jeszcze przed rokiem, teraz, patrząc na wiszącą w jego gabinecie mapę z zaznaczonym czerwoną kredką położeniem wojsk, nie był już takim optymistą.

I jeszcze jeden dzień, który zapamiętał. Dwudziesty lipca. Znowu w radiu usłyszał głos Hitlera, lekko ochrypły. „Zdrajcy, którzy chcieli zaprzedać III Rzeszę targnęli się na moje życie, ale ich zdradziecki plan się nie powiódł...” Emma też słuchała radia. Po raz pierwszy od wielu miesięcy weszła do jego gabinetu, by rzucić mu w twarz: „Niech powiesz Staufenberga! i pozostałych, a ich ścierwa rzucą psom. Nie są godni by ich nogi stąpały po niemieckiej ziemi...” Jej oczy pały nienawiścią, słowa wypełnione były jadem.

We wrześniu spakowała dwie walizki i wyjechała do siostry do Drezna. Nie tłumaczyła się za wiele. Powiedziała, że musi odpocząć. Ernst nie dopytywał. Chciał ją odwieźć na dworzec, ale odmówiła. Po kilku tygodniach otrzymał

wiadomość, że odebrała sobie życie. Nie rozpacział. Sam był zdumiony, że tak mało go to obeszło.

Kiedy Wedelmann odkładał na półkę trzy woluminy dziennika ze złotymi literami na grzbietach, za godzinę miało świtać. Nie rozbierając się, zaciągnął na siebie koc. Rano znów odbędzie wędrówkę tymi samymi od lat ulicami do swojego gimnazjum.

Stary Dieter przychodził najpierw, z pękiem kluczy zawieszonym na pasku od spodni. Wywijał miotłą wietrzył klasy, potem witał wszystkich, uchylając kapelusza i kłaniając się w pas.

Dyrektor, Ernst Wedelmann, w gimnazjum zjawiał się zawsze zaraz po woźnym. Wychodził z domu dużo wcześniej niż potrzeba. Wstępował do sklepiku przy piekarni, gdzie kupował dwie jagodzianki - przyzwyczajenie od wielu lat.

O tej porze w koszarach obok dawno było już po pobudce i z placu ćwiczeń na górcie dolatywały pokrzykiwania feldfebli. Za płotem rozlegał się warkot jeżdżących samochodów. Urok przylegającego do koszar parku nijak nie komponował się z surowym życiem wojska, szybciej z czerwoną cegłą budynków. Przecież jeszcze kilka lat temu sąsiedztwo to tak go nie irytowało. Dopiero teraz. Zastanawiał się od kiedy szukał jakiejś daty, zdarzenia. Czy od czasu jak zabrakło Petera, a może jak poddał się Paulus i Hans został na wschodzie? Nie mógł się zdecydować. Czy od tego dnia, gdy nie przyszedł do szkoły jego najlepszy uczeń - Bersztein? Od pamiętnej nocy, gdy jego przyjaciela, Müllera, mieszkającego przy Nizza Platz obudził dźwięk rozpryskującego się na płytach chodnika szkła

i przenikający do mieszkania swąd spalenizny. Dyrektor nie mógł się zdecydować.

W styczniu mocno przymroziło. Nawet rzeka pokryła się płaszczem lodu i śniegu i kładka wydawała się zbędna, by znaleźć się po drugiej stronie. Opustoszałe w grudniu miasto zaczęło się zaludniać. Przybywali obcy, całe rodziny, głównie kobiety, starcy i dzieci, uciekając przed sowiecką nawałą. Wkrótce było ich kilkakrotnie więcej, niż stałych mieszkańców. Zapełnili koszary, szpitale i szkoły. Opowiadano w mieście najróżniejsze historie, jedna bardziej przerażająca od drugiej. „Czy to wszystko może być prawdą?” - rozważał dyrektor, przesiadując nocami w swoim gabinecie. Jego praca nad monografią trzechsetlecia Królewskiego Gimnazjum zdawała się dobiegać końca. Nie myślał, co potem - jakby jutra miało nie być.

Dzień i noc dudniły coraz bliżej armaty. W powietrzu czuć było już oddechy Rosjan. Późnym popołudniem nad miastem pojawił się ogień, ogromny ognisty słup od strony Flugplatz Kupper. Wedelmann z pokorą niezdecydowanego humanisty podporządkował się poleceniom Gertrudy. Zaopatrzył się w pokaźny zapas książek i stawiając powoli stopy na betonowych stopniach zszedł do piwnicy. Tutaj spędzili pierwszą noc oblężenia.

Nad ranem, od strony północnej niosło się echo wybuchów i gwizd pocisków. Detonacje trwały cały dzień. Nad miastem unosiły się płomienie i pióropusze czarnego dymu. Dyrektor kilkakrotnie w ciągu dnia wspinał się na pagórek obok domu i wpatrywał w kierunku jezuickiego kościoła i przyległego

do niego gimnazjum - jego drugiego domu. Stał nieruchomo i zdawał się nie słyszeć drżącego ze strachu głosu gospodyni i bitewnego zgiełku.

Dwa kolejne dni i dwie noce spędzili jeszcze w piwnicy. Słyszeli odległe, głuchoe detonacje - pociski spadały w centrum miasta, tutaj, po drugiej stronie rzeki, było w miarę spokojnie. Czuli wciskający się, mimo zamkniętych i zasłoniętych kocami okien, zapach spalenizny. Dyrektor zanurzył twarz w książki, Gertruda kręciła drutami młynka tkając wełnianą kolorową pajęczynę. Wsłuchiwali się w odgłosy drżących szyb, wybuchy, warkot samochodów, gwizd zagubionych pocisków. Milczeli.

Ostatniej nocy zdarzyło się coś, o czym Wedelmann długo nie mógł zapomnieć i przestać myśleć jak to się stało. Kiedy podniósł głowę znad książki, jego spojrzenie trafiło na odsłonięte wysoko białe udo i wypięty pod nocną flanelową koszulą okazały tyłek Gertrudy. Nie odwrócił wzroku, jakby nie mógł oderwać. Zachował się niczym chłopiec, który pierwszy raz, niespodziewanie, zobaczył nagość starszej siostry. Książka spadła na betonową posadzkę, kobieta odwróciła się, prostując. Szeroka koszula sięgała kolan i skryła to, co przed chwilą przykuło spojrzenie dyrektora. Jego twarz pokrył mocny rumieniec. Poczul się jak sztubak przyłapany na pierwszym onanizowaniu się. Z trudem wydusił „bitte”. Powtórzył jeszcze dwukrotnie, tak samo nieśmiało jak za pierwszym razem.

Gospodyni odezwała się pierwsza.

- Zaskoczony pan, że jestem kobietą. Tylko do kuchni i ogrodu - mówiła spokojnie - do prania, prasowania, sprzątanania i czego tam jeszcze. - Patrzyła na dyrektora bez tego

codziennego posłuszeństwa, tylko jak na mężczyznę. Wyraźnie bawiła ją bezradność Wedelmanna. Jego twarz tężała od nadmiernej powagi, jej niepewnie się uśmiechała. Zrobiła trzy kroki i stanęła przed nim. Wzajemnie czuli swoje oddechy. – A może nie wiedział pan, drogi Ernście, że mam wszystko to, i w tym samym miejscu, co i każda kobieta.

Dyrektor poczuł, że coś mu drgnęło, pierwszy raz od wielu miesięcy. Zaniepokoił się, może nawet przestraszył, jak dziewczyna zobaczywszy pierwsze krwawienie. Truda niepewnym ruchem ręki pogładziła go po głowie, jak matka syna.

- Nie bój się, wszystko będzie dobrze - zapewniła delikatnie.

Gest ten bynajmniej nie uspokoił Ernsta. Ciągle był zdezorientowany zaistniałą sytuacją. Kobieta przesunęła dłoń wzdłuż jego ramienia, zatrzymała na biodrze, może się zawahała, może oczekiwała jakiejś reakcji? Potem jej dłoń zmieniła kierunek, zatoczyła łuk, a drżące palce zaczęły odpinać guzik po guziku. Gdy były u celu, Gertruda stwierdziła, że nic tu po jej dłoni, natura zrobiła swoje. Wtedy Ernst odezwał się z westchnieniem: „Truda, moja droga, nie...”. Zamknęła mu usta swoimi, wsunęła język, przyłgnęła do niego. Odsunął się jak oparzony. Poczul chłód ściany. Ona znowu przywarła do niego, napierała mocnymi udami...

Ranek zastał ich na swoich łóżkach. Kiedy piwniczne okno musnął pierwszy oddech świtu, byli już na nogach: ona przygotowywała śniadanie, jego zaabsorbowała lektura. Tak przynajmniej wyglądało. Wzajemnie unikali swoich spojrzeń.

Czuli się niezręcznie. Pewnie obydwójce myśleli: „Była to jawa czy sen?”

Z pewnością obecność Rosjan w niedzielny poranek nie była snem. Jak woda po przerwaniu tamy, zalali całe miasto. Następnego dnia rosyjska komendantura zajęła budynek przy Keplerstrasse - vis-a-vis Ressource. Na popołudnie zarządzili rejestrację pozostałych w mieście mieszkańców. Zdolnych do pracy zatrudniali do odgruzowania ulic. Szukali specjalistów do uruchomienia elektrowni i fabryk. Rozdzielali żywność. Powołali do życia, przy tej samej ulicy, w kamienicy pod numerem 20, Burgermeisterei. Urząd burmistrza powierzono Stahnowi.

Wedelmann myślał o powrocie Hansa i otwarciu gimnazjum. Pewnego dnia odwiedził go stary Dieter. Uściskali się serdecznie. Przyglądali się sobie, jakby nie widzieli się lata, a nie kilka tygodni. Krótco przed zburzeniem mostów, gdy dyrektor szedł przez Ludwigplatz, usłyszał za sobą znajomy głos: „Herr Direktor!”. To był ostatni raz. Wzajemnie nakłaniali się do wyjazdu, jednak zostali obaj. Teraz woźny stał przed dyrektorem, karnie jak żołnierz przed swoim dowódcą oczekując na dyspozycje.

- Kiedy zaczynamy Herr Direktor?
- Wedelmann nie spieszył się z odpowiedzią.
- Hitler kaput, Herr Direktor.

W połowie maja zabieliło się w mieście od plakatów w języku polsko-niemieckim. Przechodnie zatrzymywali się, czytali. Spoglądali na siebie, szukając wzajemnie zaprzeczenia. W grupie mężczyzn skupionych przy wieży ratusza był też

Wedelmann, Günter i Dieter. „Jak to tak?!” - mówiło spojrzenie tego ostatniego.

- Chyba nie otworzymy gimnazjum, drogi Dieterze. - Głos dyrektora był spokojny i smutny. - To już nie jest nasz heimat. Oni piszą- ruchem głowy wskazał obwieszczenie - że to ich. - Patrzyli w biały papier pokryty czarną, świeżą jeszcze, drukarską farbą.

Przemieszczał się bez celu między ruinami, z których dochodził świeży swąd spalenizny. Zakład fryzjerski. Wystarczyło wejść, miał takie wrażenie, by zobaczyć starego siwego Fritza. Brzytwą w drżących dłoniach przycinał nisko na policzkach baczki, potem dwoma pociągnięciami wzdłuż szyi, omijając o grubość włosa uszy, wyznaczał granicę zarostu. Szyld restauracji „Pod Bobrem” złamany wpół leżał pod ścianą. W jego miejscu wisiał nowy o trudnej do wypowiedzenia nazwie. Złożył litery i z trudem wyszeptał „U Muzylaka”. W księgarni z wybitym oknem wystawowym na środku leżały zwęglone półki z książkami. Hotel „Pod Białym Lwem” straszyl rozwalonym dachem i wyrwaną czołową ścianą. Zburzony ratusz. Osmalone ściany wokół okien - ślady po liżących je płomieniach.

Wedelmann widział jak na ciężarówce ładowano czerwoną cegłę z kamienic, w których oknach jeszcze niedawno wisiały białe, fantazyjnie udrapowane firanki. Przed jego matowymi gałkami oczu pojawiały się zapamiętane obrazy z przeszłości, twarze przyjaciół, znajomych, nauczycieli, twarz Emmy, chłopców, kiedy mieli po osiem, dwanaście lat. Każdy kawałek ulicy, ławka, brama, kawiarnia, cukiernia, a dokładniej

to, co z nich pozostało, coś przypominały. W spalonych ruinach widział postaci ludzi. Oni żyli jeszcze w jego pamięci. Gdy z ciężkim sercem przekroczył Bahnhofstrasse - teraz nosiła trudną do wypowiedzenia dla niego nazwę - i wszedł na Worbstrasse, zdał sobie sprawę, że tak naprawdę, to nie ma już jego miasta, wielu miejsc, do których tak ochoczo uciekały myśli. Jego miasto umarło.

SZEPTY DZIKIEJ RÓŻY

Tam, gdzie niegdyś rośla stara, ogromna lipa, Luscia posadziła dziką różę. Piękne, czerwone kwiatuszki wydzielają niezwykle intensywny zapach, właściwie przez całe lato, aż do późnej jesieni. Miejsce musiało być rzeczywiście idealnie dobrane, bo krzaczek rozrastał się w oczach. Wprawdzie wszyscy znajomi, ba, nawet bliscy, nie podzielali zachwytu Lusi nad roślinką

Może miałyby to jaki - taki wygląd, gdybyś ją jakoś finezyjnie poprzycinała! - mawiali wyraźnie zdeglustowani.

Dałam jej wolność, niech sobie rośnie, jak chce!

Łuska, ty patrzysz czasem na oczy? Rozejrzyj się wokół. Teraz modne są iglaki. Inni mają takie wspaniałe ogrody i jakie wypielęgnowane, że ho, ho. Strasznie mi się podobają! - także tato miał w tej kwestii odmienne zdanie i często znacząco pukał się w głowę, popatrując na ogrodnicze poczynania córki.

Tym razem jednak Luscia się uparła, wściekle walczyła o życie dzikiej róży i nie pozwoliła jej wykopać, by posadzić modnego iglaka. Jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie, by w tak uroczym zakątku, na miejscu starej lipy, z kwiatów której jej przodkowie parzyli aromatyczne herbatki, rośla teraz fikuśnie poprzycinana, całkiem bezużyteczna i obca tuja. Utarte z cukrem płatki róży nadawały powidłom niezwykłego smaku, a wrzucone do owocowego wina, sprawiały, że stawało się ono prawie boskim nektarem... Tak naprawdę, wcale nie o to chodziło, ale akurat ten argument potrafili przyjąć domorośli kreatorzy wizerunku krajobrazowego współczesnej wioski.

Prawda tkwiła o wiele głębiej, może w starych opowieściach dziadka Pawła, a może w pamięci ziemi... Na pewno w pamięci ziemi, przecież ziemia skrywała odwieczne tajemnice i nigdy niczego nie zapominała. W każdym razie, dla Lusi miejsce było baśniowe i magiczne, jak chwile spędzone z dziadkiem, jak jego wspomnienia. Wokół krzaczka róży czas zataczał koło, pędził w nieznaną przyszłość i wracał, z uporem maniaka, do chwil, o których nikt już nie chciał dzisiaj pamiętać.

- Ty to potrafisz słuchać, Lusi! Tobie jednej warto opowiadać! - powtarzał dziadek.

Czasem, gdy stała obok dzikiej róży, odurzona kwietnym zapachem, wydawało jej się, że właśnie teraz słyszy te słowa, że dziadek akurat w tym miejscu jest najbardziej obecny i wciąż snuje swoje wspomnienia, a ona widzi barwne obrazy, kolorowe sceny, jak kadry filmu z dawno przebrzmiałego świata. Nie musiała nawet zamykać powiek, wystarczyło napawać się słodkim zapachem i tak wiele razy opowiadane historie dziadka jawiły się przed oczyma dokładnie, może nawet dokładniej niż wtedy, gdy zabierał wnuczkę w inny świat, w świat swojego dzieciństwa i młodości.

Nie wiadomo dlaczego róża zaczęła jej się kojarzyć z Chają, nawet zaczęła ją tak w myślach nazywać... Może wynikało to z faktu, że w tym miejscu dziadek, trzymając ją za rączkę, najczęściej mówił o siedliskich Żydach, najczęściej wspominał Chajkę. I jeszcze był cień tej prastarej lipy, tylko wyobrażony, przecież Lusia i lipa nigdy nie zaistniały we wspólnym czasie.

W każdym człowieku jest dobro i zło, plus багаż własnych doświadczeń... Tylko, że wszystko ulega nieustannym przemianom, jak pory roku, jak fazy życia, jak światopogląd narzucany przez, niekoniecznie właściwe, autorytety.

Często trudno uwierzyć w wizję świata serwowanego przez wszechmocne media. Pełna inwigilacja umysłów, asymilacja cudzych poglądów i jedynie niekiedy, podczas bezsennych nocy pojawiają się uporczywe myśli, że gdzieś po drodze zagubiła się prawda... Może tylko mała prawda ale czy akurat dlatego miałyby być mniej ważna, całkiem nieistotna? Czy właśnie małe, ludzkie, osobiste prawdy nie są częścią składową tej jednej - absolutnej?

Lusia żyła w małej miejscowości, gdzie wszyscy się znali i wiedzieli o sobie dużo, może nawet zbyt dużo... Niby we wsi był internet a dachy przyozdabiały anteny satelitarne, więc dostęp do wiadomości był niczym nie utrudniony. Młody postępowy ksiądz w siedliskim kościele też mówił wiele o tolerancji, o zrozumieniu, o miłości bliźniego i o grzechu nienawiści, który zawsze uderzał najbardziej właśnie w nienawidzącego. Ludzie powinni byli mu zaufać, przecież we wsi mieszkali sami bogobojni chrześcijańscy patrioci! Kochali Boga i ojczyznę, dla której gotowi byli poświęcić naprawdę wiele.

Skąd więc nagle wzięła się ta nienawiść do inności? Taka prosta, nawet prostacka i wcale nie zakamufLOWANA łagodnymi słowami.

- Kto nie jest z nami, jest przeciw nam! - znowu średniowieczny zew polskiego rycerstwa stał się jak najbardziej aktualny.

Ci, którzy nie uczestniczyli w niedzielnym nabożeństwie albo mężczyźni noszący długie włosy natychmiast stawali się wrogami publicznymi. Snuto o nich przeróżne opowieści, niezwykle barwne i żywcem zaczerpnięte z wenezuelskich telenowel... Przynależność do różnych diabelskich sekt, obce - najczęściej żydowskie korzenie i zło mogące zanieczyścić dusze prawdziwych Polaków.

Na tych innych spływała nienawiść tak wielka, że bardzo szybko zmieniali miejsce zamieszkania i wynosili się ze wsi. Swego czasu ożenił się tutaj Muzułmanin, jednak nie mógł znieść ciągłego napiętnowania i podejrzeń, więc szybko zabrał żonę i dziecko do swojego kraju. Nieszczęsna po roku wróciła, widocznie tam też było podobnie... Zero tolerancji dla inności!

Lusia kompletnie nie pojmowała tego świata, który ze względu na ogólny dostęp do informacji i przynależność do Unii Europejskiej, miał stać się rajem dla każdego człowieka, bez względu na rasę i religię.

Kiedyś Siedliska były takim edenem, nawet księża nazywali je lewicowym siółkiem, bo tu ludzie potrafili mieć swoje zdanie i ostro o nie walczyć. Wzgórzyste, nieurodzajne poletka sprawiły, że wielu, nie widząc innego wyjścia, wyjechało za chlebem za granicę, wielu się wykształciło i przekazywało swoje zdanie innym...

I miało być tak pięknie! Światowo i sprawiedliwie, bez narzuconych niby prawd, bez nacjonalistycznego fałszu. Zdawać

się mogło, że każdy człowiek będzie miał prawo tu żyć i odnaleźć własne naprawdę szczęśliwe miejsce.

Niestety, pewnego dnia zaczęło nadawać swoje audycje Radio Maryja. Co było w nim takiego, że ludzie nagle zapomnieli o swoich ideałach? Co było w tych słowach płynących z eteru, że siedliscy wolnomyśliciele diametralnie zmieniali swoje poglądy?

Lusia nie potrafiła zrozumieć. Czasem słuchała tego radia i naprawdę próbowała dociec przyczyn. Zupełnie nadaremnie, zupełnie! Od razu po pierwszych nienawistnych słowach lektora jawił jej się Hitler z niespokojnymi wąsikami, który gardłował o wyższości jednej rasy nad drugą, o Bogu przychylnym jedynie słusznej nacji. Gdzieś w tle wizja obozów koncentracyjnych, swąd spalonych ciał, mord, okrucieństwo i prawo, które służyło tylko wybranym, sprawiały, że gasiła odbiornik.

Bóg był dla niej miłością, patriotyzm też był miłością, a Radio Maryja tylko złem, które uderzało i wzbudzało do życia najbardziej niskie instynkty. Kościół był podobno nierychliwy aczkolwiek sprawiedliwy... Czy to miało tłumaczyć wszystko? Dlaczego nie zamknął natychmiast stacji, która zaprzeczała jego polityce miłości i tolerancji? Pewnie potrzebował na to czasu, dogłębnych badań, tak jak i na świętą inkwizycję, tylko, że ludzkie życia były ograniczone i miały na to maleńki i niezwykle ograniczony czas.

Dlaczego wszystko, co było, stało się nagle złe i nieważne? Dlaczego niby Bóg miał potępić Chaję, która nigdy i nikomu nie uczyniła nic złego? Dlaczego stare opowieści miały ulec przemianom, zgodnie z duchem Radia Maryja, który miał

tyłe wspólne z rzeczywistością, co Lusia z działalnością terrorystyczną...

Wszystko się zmieniało, wieś szła z prądem i słuchała niekoniernie właściwych autorytetów, a wspomnienia dziadka Pawła stawały się fantastyczne, jakby nigdy te zdarzenia nie miały miejsca w rzeczywistości...

Lusia zawsze wierzyła dziadkowi, zawsze mu ufała, bo jakoś nigdy nie złapała go na kłamstwie, ba, nawet na przejaskrawieniu prawdy. Kiedy umarł dziadek, miała już dwadzieścia pięć lat i wydawało jej się, że jest mądra i całkowicie dorosła... Czy tak było? Ogarniały ją coraz większe wątpliwości. A jednak? Dziaduś Paweł nigdy nie kłamał, nie upiększał, mówił zwykle to, co myślał i to, w co wierzył... Pod koniec życia niepotrzebne mu były żadne fantazje, bo raczej starał się pogodzić z Bogiem i wyprosić przebaczenie grzechów nagromadzonych przez długie ponad dziewięćdziesięcioletnie bytowanie na tej ziemi.

Wiesz, moje dziecko, ziemia ciągiem była i jest dla chłopa najcenniejsza. Niby teraz to się zmienia, ale uwierz mi, że to wróci... Wróci ta chłopska miłość do czarnych grudek, rychlej niż się tego wszyscy spodziewają! Dużo rychlej, lada moment! A i sąsiedzi są bardzo ważni, bo ino na nich liczyć można, kiedy głód do chałupy zagładnie! - powtarzał nieustannie.

- Mody przemijają... A ludzie to teraz mało się znają i ino w te błyskające pudła spozierają po wieczerzy. To minie, minie, moje dziecko, sama obaczysz!

Lusia słuchała z zapartym tchem i choć nie zawsze się z dziadkiem zgadzała, lubiła te jego stare opowiadki o ludziach, którzy już odeszli i prawie nikt o nich nie pamiętał. Może dlatego właśnie nie dała się zmanipulować, nie popłynęła z prądem nowatorskiego patriotyzmu... Wierzyła mocno, że starość daje pewną mądrość opartą na doświadczeniu i różnych przeżyciach, a przecież dziadek przeżył dwie wojny, okupację hitlerowską! rosyjską... Poradził sobie nawet w najciemniejszych mrokach stalinizmu i walczył o swoją ziemię, nie pozwolił wcielić jej Spółdzielni Produkcyjnej. Przeplącił urzędników, upił? O tym jakoś nigdy nie chciał mówić.

Teraz wszystko było inaczej. Barwy dobra i zła pomieszały się, zmatowiały i ujednoliciły... A jednak znowu najważniejsze było, by żyć tak jak inni. Dobry był tylko prawdziwy Polak, wierny słuchacz Radia Maryja, tępiący wszelkie inne nacje. Ten prawdziwy Polak szczególnie upodobanie miał do krytykowania Żydostwa, bo przecież od niego brało się wszelkie zło i niesprawiedliwość w ukochanym kraju. Żydzi zagarniali nasz majątek, wpychali się do rządu, do bogatych spółek akcyjnych i za wszelką cenę starali się upodlić biednego Polaka. Siedliski patriotyzm zamienił się w nienawiść, do tych, których już dawno zlikwidowały esesmańskie kohorty.

W mrokach niepamięci znikła miła Chaja, życzliwy Mendel, co nikomu nie odmawiał pomocy. W podłym czasie rozmył się smak słodkich cukierków, które stary żydowski arendarz wyjmował z kieszeni czarnego chałata i rozdawał chłopskim dzieciom. To wszystko nie istniało, nie miało racji bytu w realnym świecie, było baśnią i tylko baśnią.

Chajka stała w sadzie Mendla zaraz koło szynku i zadzieriała głowę wysoko do góry, bacznie obserwując niebo. Właściwie wpatrywała się w nie, jak sroka w gnat. Zamarła w jednej pozycji, znieruchomiła, chyba nawet nie mrugała powiekami, bo oczy miała szeroko otwarte i jakieś takie ogromniaste, wytrzeszczone.

O tym, że jednak żyje, świadczyły tylko jej piersi, które unosiły się i opadały przy każdym oddechu. Zazwyczaj ruchliwe dłonie dziewczyny spoczywały uśpione na brzuchu, splecione ze sobą, niczym do modlitwy.

Tylko na nią zerknął, naprawdę jedynie zerknął i to bardzo pośpiesznie, a naraz wszystko wydało mu się ładniejsze. Stara lipa wydzielala mocniejszą woń, głośniej bzyczały owady krążące wokół jej kwiatów.

Pluskanie brudnej, rwącej wody, która płynęła drogą na Dudkawkę, zamieniło się w łagodny szelest przejrzystego, leśnego strumienia...

Aż się podrapał po głowie, by wyzbyć się tych dziwacznych odczuć. Przecież straszliwie się spieszył! Jeszcze tego by brakowało, żeby przez okno zobaczyli go mama albo babka Hanka. O, nie! Nikomu nie pozwoli zepsuć tej chwili... Ledwie się udało, ledwie, ledwie...

Był taki przejęty, że tato go puścili nad Wiśtok, że pomogli mu się wyzwolić z nadopiekuńczości mamy, że nic go nie interesowało. Postanowił powiedzieć Chajce układne dzień dobry i popędzić do chłopaków, którzy, ani chybi, już zgromadzili się nad urwistym brzegiem rzeki i obserwowali

szkody po ulewie. Burknął więc to swoje grzecznościowe powitanie i w ogóle już nie spojrzął na Żydówkę.

- Pawuś! Chodź no tu! Chodźże, cosi ci pokażę! - niespodziewanie zatrzymała go Chaja.

Nie potrafił zlekceważyć wołania. Zresztą, w głosie sąsiadki było coś niezwykłego, jakaś uroczysta powaga.

Uśmiechała się, jak zwykle, promiennie, ciepło, tak jakby ten, do którego kierowała swój uśmiech, był najważniejszym i najwspanialszym człowiekiem na świecie. Nie mógł się nie zatrzymać, nie potrafił odmówić.

- Chodź, nie pożałujesz! - ponaglał go jej słodki głos.

Jednym susem przeskoczył niski, drewniany płotek oddzielający zagrodę Mendla od drogi, która teraz była właściwie rwącym strumieniem burej wody i stanął obok Chajki. Złapała go za rękę.

- Z kimsi muszę się tym podzielić! To grzech zachwycać się tak samemu! Patrzaj w niebo, patrzaj, Pawuś!

Ogromnie zdziwiony popatrzył najpierw w jej oczy. W niesamowicie błyszczących źrenicach Chaji odbijało się i niebo i tęczą.

Jednocześnie zadarli głowy do góry, ale dziewczyna nie wypuściła już jego dłoni. Na pewno w tym momencie zatrzymał się czas, stanął w miejscu, sam zachwycony i spokorniały wobec tak niezziemskiego piękna.

A tęczą nabierała barw, coraz to intensywniej potęgowała kolory, mieszała je jak najznamienitszy mistrz pędzla i spowijała lazur kolorową, błyszczącą poświatą. Niebo

stawało się tęczą, zieleń ziemi tonęła w niebiańskich odcieniach, właściwie sama zamieniając się w wielobarwną tęczę.

Bóg był tak blisko, nad nimi, obok nich, w nich samych. Przez złęczone dłonie żydowskiej kobiety i chłopskiego dzieciaka przenikało tchnienie boskiego zachwytu.

Tu jest Bóg! Chajka, jest!!!! Bóg jest nad Siedliskami! - wyszeptał oniemiały Pawuś.

Jest! - powtórzyła Chaja.

Oboje uszczęśliwieni, uskrzydleni obserwacją zjawiska, poczuciem bliskiej obecności Wszeczmogącego, zupełnie zapomnieli o rzeczywistym świecie. Złapali się za ręce i zadzierając głowy wysoko, zaczęli kręcić się w kółko, coraz szybciej, coraz z większą radością, aż do utraty tchu. Potem upadli na mokrą trawę i śmiali się radośnie, sami nie wiedząc z czego.

Pawuś całkiem zapomniał o Wisłoku, o czekających tam na niego kolegach a Chaja zapomniała o ludziach.

- Chajka! Czyś ty na głowę zachorzała? Pewnikiem rozum burza ci odebrała! - wrzasnęła gniewnie surowa Fradla, mama dziewczyny, wyłaniając się niespodziewanie zza węgła chałupy.

Czar przysł. Poczul żal, prawie chciało mu się płakać. Nikt nie lubił żony Mendla, w odróżnieniu od reszty rodziny. Fradla była taka oschła, surowa i na wszystkich patrzyła z góry, jakby była od nich lepsza.

- Typowa Żydówka! - mawiali dorośli ale jemu niczego to nie wyjaśniało.

Jeszcze raz popatrzył z żalem w niebo. Tęczy nie było. Zażenowana Chaja odeszła razem z matką.

Na konarach lipy roiło się od owadów. Bzyczały głośno, przepychały się, aż słyszalny stawał się furkot ich małych skrzydełek, byle tylko dobrać się do słodkiego nektaru. Lipa wabiła je odurzającym zapachem.

Wokół pachniało tak mocno, tak przyjemnie... Nieba nie szpeciła żadna, nawet najmniejsza, chmurka, bezkres błękitu wdzierał się pod powieki a słońeczko świeciło tak mocno, że naprawdę chciało się żyć. Świat był ciekawy i wielki.

Na gałęziach grubej wysokiej gruszy w gniazdku klekotały małe bocianki a stare zataczały nad nimi wielkie koła i raz po raz donosiły im pożywienie.

Babka Hanka siedzieli na przyzbie i przekładali paciorki różańca. Lepiej się było do nich nie zbliżać, bo zaraz krzyczeli, że przeszkadza się im w modlitwie. W lubeńskim kościele dzwony biły na Anioł Pański, dudniący pogłos niósł się daleko, na pola, na lasy, hen gdzieś....

Rozmodlona babka na nic nie zwracali uwagi, nawet na niego. Zresztą, pewnie i mieli powód do tak żarliwej modlitwy, pewnie wypraszała wieczność szczęśliwą dla małej Anielki.

Dopiero trzy dni minęły odkąd pochowano niespełna rocznego darcuicha na cmentarzu. Pawuś wiedział doskonale, że jego myśli są grzeszne i lepiej, żeby nikt się o nich nie dowiedział ale jakoś nie mógł pozbyć się uczucia ulgi.

Może gdyby to był ten upragniony braciszek, traktowałby całą sprawę inaczej. Jednak Anielka, kiedy tylko pojawiła się

w ich chałupie, wciąż się darła i nie dała domownikom przespać jednej spokojnej nocy.

Kolejna siostra, kolejny niewypał, jak rubasznie śmiali się strytko Franek. Jedyne mamy było Pawusiowi żal, bo ciągiem mieli zapłakane oczy. Nawet teraz, w ten piękny, słoneczny dzień nie było w niej żadnej radości, czy cienia uśmiechu.

Pawuś musiał wykorzystać sprzyjającą okoliczność, bo ani mama, ani babka nie zwracały na niego należytej uwagi. Taty nie było, poszli ze strykiem oglądać straty, jakie nawalnica poczyniła w polu aż na Liszkach.

Lipa była taka wielgaśna, wysoczeńka i wbrew zakazom wciąż go kusiała. Wabiła ku sobie, niczym te bzy czące owady... Chłopiec od zawsze marzył, by wspiąć się po gałęziach drzewa aż na sam wierzchołek i z bliska zobaczyć niebo, a potem z góry spojrzeć na Siedliska...

Może, gdyby lipa tak nie pachniała i nie wywoływała dziwnych pragnień, marzeń... Kiedy stał w jej cieniu, odurzony słodkim zapachem kwiatów, wydawało mu się, że świat jest taki przyjazny, choć wielki i trzeba tylko zdobyć się na odwagę, by lepiej go poznać, zbadać...

Niestety, był jedynym męskim potomkiem starej, kmiecej rodziny i wszyscy wokół zbytnio o niego dbali, przez co psuli mu wiele przyjemności.

Coby ci czasem do łba nie przyszło, wyłazić na lipę! Widziałem, jako na nią popatrujesz. Kark byś mógł skrócić w jednej chwili, jakby ci się łapa obsunęła! Cobyś mi się nie odwożył, pędroku! - przestrzegali go często tato.

Ino se patrzę, gdziebym lożł! - obruszał się z goryczą.

Zawsze wszystko było nie dla niego! Inni chłopcy mieli więcej swobody i wolności. Mama truchleli, kiedy tylko kichnął a babka Hanka zaraz parzyli owsianą herbatkę na kaszel. Nawet Frania, starsza siostra miała lepiej, choć stale musiała się zajmować młodszymi dziewczuchami, nawet jej było więcej wolno.

- E, dzisio mnie nie ułapią! - poczuł w sobie taki bunt, że nic nie mogło go już powstrzymać przed spełnieniem swojego pragnienia.

Na pierwszych konarach lipy, tych takich najbliżej ziemi, wcale nie pachniało tak mocno. A jednak czuł ogromne podekscytowanie, wszak zakazany owoc najlepiej smakuje...

- Pawuś? Ojciec wiedzą, gdzie leziesz? I dali przyzwolenie? - niespodziewanie wrzasnęła Chajka.

Aż nim wstrząsnęło ze strachu i naprawdę niewiele brakło, by puścić się grubej gałęzi.

Wiedzą! Pewnie, że wiedzą! - odkrzyknął ze złością.

Oj, cosi mi się nie widzi! - roześmiała się dziewczyna.

Może im powiem o twoi wspinaczce, jak zajdą do karczmy!

Tego by tylko brakowało! Wszystko w Pawusiu zamarło ze strachu, szczególnie serce. Przez moment nie słyszał jego bicia a potem rozwijało się na dobre. Walilo, łopotało i za nic nie chciało się opamiętać.

- No co ty, Chaja! Przecie ja ino tak, już złążę! - ledwie wydukał ze zdenerwowania i zaczął szybko schodzić.

Zdenerwowanie, jeden gwałtowny, nieprzemyślany ruch i rozdarły się portki od biodra aż po kolano. Za takie nieposzanowanie ubioru babka Hanka nie szczędziła bolesnych raziów. A juź najgorsze było, że i mama i tato stali za nią murem. Zeskoczył sprytnie z ostatniej gałęzi i żałośnie spojrział na Żydówkę.

To przez ciebie, Chajka! Akuratno przez ciebie!

Takam zła, Pawuś? Dobre sobie! Przecie ja ino chciałam cię zawołać, bo mom cosi dla ciebie! - z przepastnej kieszeni zapaski dziewczyna wyjęła piękne, czerwone jabłuszko, ale zrobiła kwaśną minę.

Od dnia, w którym razem obserwowali tęczę, kiedy kręcili się kółko trzymając mocno za ręce, kiedy razem stwierdzili, że nad Siedliskami jest Bóg, wszystko się zmieniło. Ich znajomość nabrała głębszego znaczenia, wkroczyła na zupełnie inny tor.

Wprawdzie i przedtem lubił Chaję, bo zawsze była w pobliżu i można było liczyć na jej pomoc. Ile to razy podnosiła go z ziemi, gdy był jeszcze całkiem małym pędrakiem, ile razy obcierała obdarte kolana i wstydlive łzy! Popatrzył na nią ze skruczą i uśmiechnął się szeroko.

- Nie przez ciebie!

- No!

Chajka? A skąd mosz takie śliczne jabłko? Przecie jeszcze jabłuszka nie doźralały....

Ano mom! Dla ciebie, Pawuś, z naszego sklepu! Pamiętosz, my razem widzieli coś cudnego!

Co miał nie pamiętać! Takie chwile nie zdarzają się znowu tak często. Podziękował za jabłko i wgrzył się w soczysty owoc. Mendel rzeczywiście musiał mieć dobrą piwniczkę, o wiele lepszą niż u nich w domu, bo jabłuszko nic nie straciło przez długi okres przechowywania ani na wyglądzie, ani na smaku. Aż jęknął z zachwytu i mlasnął. - Pychota!

- A widzisz? - roześmiała się Chaja.

Odpowiedział uśmiechem. Nigdy nie żałował spotkań z Chają, Lolą a nawet ich ojcem, nigdy. Lubił zachodzić do sklepu, który był równocześnie szynkiem czy karczmą, jak niezmiennie nazywali to miejsce babcia Hanka.

Na ławeczce przed chałupą siedział zwykle stary Mendel z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, gładził długą, siwą brodę, wachał tabakę i obserwował gościniec. Był już chyba bardzo, bardzo stary, bo siadywał tak całymi dniami, jakby nic innego nie miał do roboty.

Czasami Pawusiowi wydawało się, że pomarszczony Żyd w kapeluszu i czarnym chałacie przyrósł do tej ławki i będzie już tak siedział do skończenia świata. A jednak Mendel ożywał natychmiast, gdy ktoś zachodził do szynku. W przepastnych kieszeniach chałata miał cukierki i obdarowywał nimi chłopskie dzieci.

- I jak tam, Pawuś? Doma wszyscy zdrowi? A ojcowe konisie ciągiem takie wypasione? - zagadywał skrzeczącym, starczym głosem.

Paweł odpowiadał grzecznie, brał cukierki i naprawdę cieszył się, że Mendel żyje, że zawsze może liczyć na tę niezwykłą słodkość rozptylającą się w ustach.

A Chaja i Lola, piękne córki starego, też chyba bardzo lubiły chłopskie dzieci, bo zawsze miały dla nich dobre słowo, miły uśmiech i cukierki, jakby na przekór temu, jak dokuczały im wsiowe wyrostki....

Jeszcze szerzej uśmiechnął się do Chajki, bardziej promiennie, bo ona sama była promienna. Kiedy patrzyła na człowieka tymi czarnymi, błyszczącymi oczyma, miało się wrażenie, że jest się kimś ważnym, kimś wyjątkowym.

Wprawdzie wsiowe baby miały jej wiele do zarzucenia ale nigdy jawnie nie okazywały swojej wrogości. Tak naprawdę, Chajka i do nich uśmiechała się promiennie.

- A Mendlowa Chajka to tako strzela tymi ślepiami po naszych chłopolach, że strach bierze!

- I jako się zawždy stroi! Jak panusia jako!

Całkiem insza ona niżli Fradla i Lolka! Coby z tego i czego gorszego nie było.

A dajcie pokój, juści Mendel swój rozum mo i dobrze córuchny pilnuje, na wszystko mo baczenie...

Niby racja, jeno strach, coby Żydówka któremu i z naszych chłopoli we łbie nie zawróciła!

Zawsze, kiedy sąsiadki zbierały się u nich w chałupie na darcie pierza albo co inszego, obgadywały żydowskie rodziny. Na nikim nie zostawiały suchej nitki, a już szczególnie upodobały sobie Chaję.

Ojciec, jak niepyszny, uciekali wtedy do karczmy a Pawuś, chcąc nie chcąc, musiał tego wysłuchiwać. Z drugiej strony dosyć często słyszał pochwały Chaji, nawet babka Hanka nie szczędzili jej ciepłych słów.

Wiesz, Orszulko - zagadywali do mamy. - Dzisiaj znów mi Krasula uciekła. To warijot nie krowa! Gdyby nie Mendlowa Chajka, nie wiedzieć gdzieby szukać bydłęcia. Pewnikiem na Obszorach albo i w Jawczy, Bóg jeden wie! Ni mom już tyła sił co niegdyś, ni mom, Orszulko... A ta Chajka to całkiem miło i uczynno dziewczucha, godom ci! A jako sprytno! Migiem ułapiła rozwścieczone bydło i jeszcze pomogła zagnać do obory. – Z zachwytu nad uczynnością żydowskiej sąsiadki twarz babki wypogadzała się, jaśniała i nawet zmarszczki zdawały się mniej widoczne.

To może Chaja winna u nas robić za pastucha! - śmieli się mama, bo te zdarzenia ciągiem się powtarzały.

Babka Hanka postarzeła się okrutnie, jednak za nic nie chcieli zrezygnować z pasienia krów i Chaja wciąż im pomagała a babka ją wychwalała.

Westchnął ciężko, niezwykle boleśnie, zerkając na gołe udo wyglądające z podartych portek... Zaraz rozstanie się z Chają, dziewczyna odejdzie do swoich obowiązków a on będzie miał przeprawę z babką. Nagle wpadła mu do głowy przebiegła myśl.

Chaja! Nie powiesz nic ojcu o lipie? - spytał gładko, robiąc najbardziej zbolatą minę.

Chajka potar mosiła go za czuprynę.

- No, nie wiem, nie wiem! Całkiem żeś rozum postradoł? Po co tam leziesz? Zabić się chcesz czy co? - oburzyła się dziewczyna.

Była starsza, właściwie już dorosła. Słyszał kiedyś, że niebawem stanie pod kupą, tak się nazywało żydowskie wesele...

Żał mu było, że wtedy wszystko się zmieni i sama Chajka ostanie stateczną mężatką. Może upodobni się do swojej matki i nie będzie już taka miła?

- Chaja?

Roześmiała się trochę złośliwie, pewnie od razu wiedziała, o co chce ją prosić.

Nie zeszyłabyś mi? Tak sporeńko, tak troszeczkę, coby ino w chałupie nie zauważyli! - wydukał prosząco.

Zszyję, ale musisz mi obiecać, że już nie będziesz tu włąził! To niebezpieczne i ryzykowne dla Pociuchy Wojciecha - zaczęła się śmiać.

Schował się wtedy w koniczynie a Chaja szybko uwinęła się z robotą. Dzięki niej ominęły go cięgi od babki Hanki, utyskiwania mamy i ojca. A na lipę i tak sobie wyszedł przy sposobnej okazji, na samiuśki wierzchołek i nikt mu nie zepsuł radości, bo nikt go nie przyłapał, nawet Chaja.

Wspomnienia dziadka Pawła, które przy krzaczku dzikiej róży zamieniały się w piękne barwne filmy, jakoś nie bardzo współgrały z rzeczywistością. Coraz głośniejsze mówiło o tym, jak to Żydzi stanowili zupełnie odrębną społeczność, jak to nawet nie operowali polskim językiem i wyzyskiwali chłopską nację. Zdarzały się nawet głosy wychwalające działalność Hitlera, który zrobił porządek z rozpanoszonym żydostwem.

A wszystko za sprawą niby religijnego radia, którego właściciele wzięli sobie za cel zniszczenie w ludziach prawdziwych wspomnień. W Siedliskach było wielu gorliwych słuchaczy, którzy wysłuchiwanie prawdy przyjmowali jak swoje.

Kiedy tylko wspominało się o Żydach, rozpętywało się istne piekło pomówień i zarzutów.

Lusia nie mogła tego zrozumieć. Czyżby opowieści dziadka Pawła były zakłamane, upiększone a może całkiem wymyślone?

Kiedy pradziadek Wojciech wrócił z wojny, a po chałupie zostały tylko zgliszcza, kiedy Mendel pożyczył mu pieniądze na budowę nowego domu, nie było takich zawilości. Wszyscy jednak biedę klepali i nie poszukiwali różnic w kulturze.

Gdy umarł brat dziadka Pawła, ten maleńki Władziu, taki upragniony przez całą rodzinę, surowa i niby odmienna od wszystkich wsiowych bab - Fradla, powiedziała Pawłowi, żeby przestał rozpaczać, że nigdy nie jest sam, bo oni mieszkają w pobliżu i zawsze może liczyć na sąsiedzką pomoc.

Albo, gdy mały synek siostry Franki wypadł na drogę, którą podążały jedna za drugą furmanki na jarmark do Budziwoja, tylko Chaja zachowała zimną krew i uratowała dziecko... Innym kobietom strach odebrał siły, obezwładnił je, całkiem sparaliżował...

- Jantuś! - wyszeptała wtedy Franka i stanęła niczym słup soli.

Chajka widząc, co się dzieje, rzuciła się między bryczki i wyszarpnęła małego prawie spod końskich kopyt... Potem obie kobiety, i Polka i Żydówka, razem tuliły wystraszonego malca...

Później przyszła druga wojna.... Strach był wszędzie i zewsząd czatowała śmierć i wielki głód. Dziadek Paweł spotkał

Mośka, męża Chaji pod sklepem, pozdrowili się jak zawsze i nagle Mosiek złapał go za ramię.

Teraz to już po nos, Pawle, jak nam to kazano nosić! - nerwowo wskazał Gwiazdę Dawida.

Tak mówi przepowiednia

Tyle było lęku w jego oczach, tyle rozpacz... Paweł też potrzymał go za ramię, tylko nie bardzo wiedział, jak go pocieszyć.

- Przetrzymamy, wszyscy przetrzymamy! Nie trza się poddawać!

Nie spał potem kilka nocy, bo wciąż widział oczy Mośka i ogarniał go taki lęk, że aż dusił.

Wspominał, jak kiedyś w święto żydowskich Kuczek razem z innymi wyrostkami, poszedł rzucać Żydom żaby do szafasu.... Głupota to była, oj głupota i wcale nie wynikała ze złośliwości, raczej z tradycji... Wieś zawsze szydziła z inności a później jakoś bardziej nasiliły się te ruchy antysemickie, pewnie za sprawą Hitlera. Pewnie dlatego... Mosiek wtedy go zauważył i poznał, ale słowa nie powiedział ojcu... Jednego słowa!

Tylko co Paweł mógł zrobić, kiedy ich zabierali? Wypaść z siekierą na drogę, na te hitlerowskie auta, na tych uzbrojonych po zęby żołnierzy? Nawet psy były straszne, wyszkolone by zabijać!

Nie widział, jak to się odbyło, nie mógłby na to patrzeć. Już trzy dni wcześniej rodziny żydowskie przyszły się pożegnać do dziadka i do jego sióstr. Władziu - synek Pawła wsadził w dłoń Szyi kawałek czerstwego chleba, tylko to mieli, nie było

słodkich cukierków... Za to były łzy i słowa pocieszenia, w które, tak naprawdę nikt nie wierzył.

Jeden mały Szyja się cieszył, że zobaczy kawałek świata, że pozna nowych ludzi i choć obiecywał, że przecież tu wróca, do domu, to był podekscytowany i szczęśliwy.

Tato? On nic nie rozumie, prawda? - zapytał ojca później Władziu. Pogładził włosy synka i przytulił go do siebie mocno.

No co, wam, tato? - oburzył się chłopiec na tę niespodziewaną czułość.

Władziu był tylko dwa lata starszy od Szyi, ale ogromnie bystry i nad wiek rozwinięty. Wciąż o wszystko pytał i oczekiwał konkretnych odpowiedzi.

- Kto wie, co będzie? Może być różnorako i dobrze nawet! - pocieszył syna, ale ten popatrzył na niego tak, jakby miał ochotę popukać się w czoło.

Franka po pożegnaniu z Chają na niczym nie mogła się skupić. Cały czas wyglądała przez okno i liczyła na cud.

A kiedy ich zabierali, kiedy przyszło to najgorsze, Franka przyszła do brata ze swoimi dziećmi, by nie widzieć i nie słyszeć. Mieszkała przecież przy samym gościńcu, tam gdzie rozgrywał się dramat. Później ktoś ze wsi przynosił zawsze jakieś wiadomości....

Naszych Żydów trzymają w Tycynie.

Zabrali ich do getta do Rzeszowa.

Przed żniwami w 1942 roku rozpoczęła się likwidacja rzeszowskiego getta... Wielu zginęło w głogowskich lasach, innych wywieziono do obozu w Bełżcu lub do Auschwitz....

Gdzie dokładnie hitlerowska kostucha dopadła siedliskich Żydów, nikt się nie dowiedział....

Tak wyglądała historia według dziadka Pawła i może to była tylko jego maleńka i subiektywna prawda. Może Lusie odurzał zapach dzikiej róży, może otumaniał cień nieistniejącej lipy? Sama nigdy nie poznała żadnego Żyda, hitlerowcy oczyścili z nich wieś doszczętnie.

Postanowiła skonfrontować wspomnienia dziadka z innymi mieszkańcami wioski, którzy jeszcze pamiętali żydowskie rodziny. Nagle okazywało się, że w trakcie miłej rozmowy, koniecznie kameralnej, takiej sam na sam, nawet najbardziej zagorzali słuchacze Radia Maryja, zdawać by się mogło antysemita pierwszego kalibru, z radością wracali do chwil swojego dzieciństwa i kwitowali swoje dzisiejsze poglądy prostym stwierdzeniem.

- Dziecko, ale u nas było całkiem inaczej! Nasi Żydzi byli całkiem inisi! Oni żyli podobnie, jak my... Po naszymu świetnie gadali, z niektórymi sąsiadami naprawdę się przyjaźnili, nawet służbę traktowali dużo lepiej niż wielu siedliskich kmieci... Dobrze płacili i nigdy nie upokarzali, a w święta i niedzielę zwalniali z obowiązków, by ci mogli iść do kościoła...

I naraz, na powrót, ze starych opowieści wyłaniał się dobrotliwy Mendel, który nigdy i nikomu nie odmawiał pomocy, dla którego Siedliska były prawdziwą ojczyzną a ludzie przyjaciółmi.

- Jak bida to do Żyda! - szydził z siebie rubasznie i choć rzeczywiście powodziło mu się o wiele lepiej niż sąsiadom, na nikogo nie patrzył z góry i nikogo nie zostawiał w nieszczęściu.

Wszyscy starszycy pamiętali Chaję jako stateczną żonę przystojnego Mośka, który po teściu objął prowadzenie karczmy. Miał taki przyjemny śmiech, a że lubił chłopskie, niewybredne żarty wciąż śmiał się głośno i zaraźliwie. Ten wesoły śmiech, taki życzliwy i beztroski utkwiał jakoś w pamięci, jakoś nie rozmył się w czasie, nie został zapomniany, pomimo nacjonalistycznych napomnień ojca Rydzyka.

Ludzie zapamiętali również Habroma, który klepał biedę, jak inni mieszkańcy i zajmował się naprawą butów. Pamiętali ten straszny dzień, kiedy Niemcy wywozili ich na stracenie, kiedy wielu mieszkańców z trudem ukrywało łzy.

- To oni jednak mówili po naszemu? - dociekała Lusja.

- A pewnie, pewnie, jakżeby inaczej dogadywali się z ludźmi!

- I nie byli źli?

A skąd! Tylko nie myśl sobie, że wszędzie tak było! Nasi Żydzi byli całkiem inisi od całego Żydostwa...

To dlaczego teraz pozwalacie sobie wmawiać, że było inaczej? Dlaczego godzicie się z nieprawdą, którą narzuca wam faszystowski guru? Dzisiejszy kościół nie jest przecież ostoją nienawiści! A nasz papież? Papież Polak? Tyle mówił o miłości tolerancji i wybaczeniu! Odszedł, ale tak wiele nas nauczył, tak wiele mówiło o miłości! Kiedy zapomnimy jego słowa, staniemy się puści i nie potrafimy już wypłynąć na głębię prawdy..

- Może i masz rację, moje dziecko, jednak trzeba iść z postępem. Może Dyrektor Radia Maryja wie więcej niż wiedział Jan Paweł II, niż my wiemy?

Po tych rozmowach uspokojona Lusia przykuciała pod krzaczkiem dzikiej róży, chłonęła jej zapach i rozmyślała o tym, że maleńkie prawdy też nie powinny ulegać zapomnieniu czy przeinaczeniu, zgodnie z obowiązującym trendem.

Chajka rozrastała się pięknie i coraz mocniej pachniało wokół, jakby pod postacią kwiatów wróciła do miejsca swojego urodzenia - żydowska dziewczyna, z którą tak bardzo emocjonalnie był związany dziadek Paweł.

Nigdy nie było tam mowy o żadnym romansowym wątku, ot po prostu zwyczajna przyjaźń chłopskiego dzieciaka i młodej dziewczyny o odmiennej kulturze i religii.

Kiedy umarł stary Mendel, Chaja odmawiała za niego kadysz a Paweł wieczne odpoczywanie. Czy to aż taka różnica?

Rośnij spokojnie, Chaja - powtarzała Lusia i z podziwem patrzyła na magiczny krzak dzikiej róży.

Ja nigdy o tobie nie zapomnę i swoim dzieciom powtórzę opowieści dziadka Pawła. Niech lepiej sami dobrać sobie odpowiednie kolory i ich znaczenie... Niech mają swoje własne poglądy, zbudowane z maleńkich prawd, ale jednak własnych... Niech nigdy nie podążają bezrozumnie, jak owce za przewodnikiem stada. I niech lepiej odurzają się zapachem dzikich róż niż przyjmują bezkrytycznie słowa kłamliwych przewodników.

Tyle słów o patriotyzmie, tyle powtórzeń o wielkości narodu i tyle nienawiści wobec przejawów każdej, nawet najmniejszej inności! Przerażające, że w XXI wieku ludzie mogli ulegać aż takiej manipulacji... W imię czego?

Czy nienawiść wobec innych miała stać się przejawem najgłębszego patriotyzmu i służyć naszej polskiej społeczności? Wszystko, co w kraju zdarzało się złego, chociażby kryzys, jawiło się jako niewątpliwa wina tych obcych, tym nam nieprzychylnych...

Lusia pomyślała nagle, że chyba jednak nie czuje się patriotką, że jest raczej obywatelką wolnego świata... Świata, w którym nawet cichutki szept dzikich róż ma znaczenie...

OBSESYJNA DOSKONAŁOŚĆ ŻYCIA

Wstaję rano, gdy mój blok przestaje tętnić życiem, tym przesadnie wkurzającym tempem zbyt ciężkich kroków w butach na obcasach, tym tupaniem, piskiem dzieci, które kolejny dzień z rzędu absolutnie nie chcą iść do żłobka, tym, które krzyczą, że szkoła jest głupia. Wstaję rano, gdy winda przestaje napierdalać co 2 minuty, kończąc bieg na najwyższym albo na najniższym piętrze. Gdy milknie łomot żelaznych drzwi na piętro, bo przecież wspornik czy jak tam się nazywa to dziadostwo, dzięki któremu drzwi powinny melodyjnie się zamykać, same, jest częstszy niż zwykle. Szybkie kroki po piętrze, trzask metalowych drzwi, trzask metalowych drzwi, podjeżdżająca winda, zjeżdżająca winda, zatrzaśnięcie drzwi, jakieś piszczące dziecko.

Wstaję rano. Około 9.

Przez pół dnia snuję się w pidżamie po domu. Wróc. Wstaję o tej 9, niespiesznie idę do łazienki, bo pęcherz za chwilę mi pęknie, wstawiam wodę w czajniku, podkręcam gaz i zapalam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, aby się tym gazem zatruć, bo i po co. Odkręcam kurek, daję zarobić złodziejom z państwowego monopolu gazowego, czajnik potrzebuje 15 minut na zagotowanie wody na kawę. Wody z kranu. Warszawskiego kranu. Warszawskiej wody. Podobno pełnej syfu z Wisły (bzdura), ale na pewno pełnej chloru. A że nie chce mi się jej odstawić, aby ten chlor się ustał, to odkręcam kran, podstawiam czajnik, nalewam wodę, odkręcam kurek, tym razem z gazem, podpalam, wstawiam. 15 minut dla mnie.

Kolejnych 15 długich minut z całego dnia. Rozsmaruję margarynę (niezdrowa ale za to zawsze gotowa do spożycia), położę plasterek jakiejś wędliny albo sera, w zależności od tego, na co ostatnio miałam jakieś pieniądze, poczekam na wodę, zaleję łyżeczkę kawy naturalnej (niezdrowo, bo po turecku, ale ekspres stoi na szafce, zresztą dla jednej osoby nie opłaca się go wyjmować). Więc będzie plujka. Niezdrowa, ale akurat o zdrowie martwić się nie muszę. A szkoda, bo może z braku zdrowia jakieś regularne pieniądze co miesiąc by były.

Jedną ręką popijam kawę, nie „nad gazety plamą”, a przed monitorem laptopa, kupionego wiele lat temu, w tych dawnych lepszych czasach, gdy stać mnie było na kredyt ratalny, a czas spędzałam głównie w dużej firmie z ambicjami do bycia korporacją, chociaż tak naprawdę to był to przytułek dla politycznie powiązanych przydupasów kolejnych rządzących partii.

Mój laptop jeszcze żyje, podobnie jak ja, chociaż odpadają od niego kolejne plastikowe kawałki, bez których nadal funkcjonuje. Działa jedynie jedno gniazdo na pendrive’y, ale na co mi więcej? Grunt, że działa Internet. Mam to szczęście, że za Internet płacę mało, ale pewnie w kolejnym miesiącu, jeśli się nic nie zmieni, pozostanę wiernym użytkownikiem miejskiego Wi-Fi. Ale wtedy będzie już ciepło i posiedzę sobie parę godzin dziennie przy fontannach czy przy moim urzędzie dzielnicowym.

Przegląd prasy, ale na jednym tylko portalu. Przegląd aktywności znajomych, czyli co się zmieniło od mojej ostatniej wizyty na facebooku. Zmieniło się niewiele, ktoś zmienił status

związku, ktoś dodał zdjęcia nowonarodzonych dzieci (matko, jakie brzydkie), ktoś coś udostępnił, więc lajkuję, gdy lubię. Osobę, nie link, czyli treść. Czasem wrzucę coś od siebie. Nie piszę o wyższości siedzenia w domu, w pidzamce, z kawą w kubku, przez pół dnia przed monitorem, bo oni mają tę wyższość, że mają regularne wpływy na rachunek, przynajmniej raz w miesiącu, z tytułu wynagrodzenia. Ja nie. I to nas różni.

Kiedyś regularnie uprawiałam pole na fb, potem miałam wirtualną restaurację, więc zaglądałam tam częściej i regularnie, bo zboże dojrzało i trzeba je było wykosić, albo krowy wydoić, a potem zdjęć z kuchenki piekącego się kurczaka albo lody i na tym zarobić, sprzedając wirtualnym klientom, na których nie miałam żadnego wpływu. Wysyłałam zaproszenia znajomym, wirtualne plody mojego pola albo nadprogramowe kawałki ciasta czy jakiejś potrawy. A oni mi odsyłali kawałki drewna, bo budowałam jakąś graciarnię albo kawałki nowoczesnej kuchenki. Regularnie toczyło się to moje życie wirtualne. Szkoda, że tej wirtualnej gotowości, cierpliwości i umiejętności zarządzania czasem nie można w żaden sposób wykorzystać. Na takiej rozmowie rekrutacyjnej na przykład. Co pani robi? Regularnie uprawiam farmę na farmville, no, wie pani: sadzę ziemniaki, zbieram owoce z drzewek, doję krowy, rozbudowuję swoją farmę, buduję potrzebne budynki. Ot, takie tam, życiowe potrzeby. A wie pani, jak trzeba przeorganizować czas w ciągu dnia, żeby móc tam prowadzić farmę albo restaurację? Przecież ja nawet zakupy planowałam pod kątem tego, żeby zarobić wirtualne pieniądze na wirtualnej farmie. A ile czasu przy okazji upływało na takiej zabawie!

Po dwóch godzinach dochodzę do wniosku, że pora umyć zęby i się przebrać. Kawa wystygła i się skończyła, wiadomości przed południem się raczej też już nie zmieniają. Może pójdę do pobliskiego sklepu, z sieci tych tanich, co to ani premier, ani reszta polityków w nich nie robią zakupów. Może będzie coś w promocji. Mąkę mam, mleko mam, to może zrobię naleśniki na obiad? Znowu. Albo nie, wyciągnę coś jeszcze z zamrażalnika z zapasów od rodziców. Czasem warto zyskać miano słoika i mieć coś na obiad, przywiezionego i domowego. Domowy obiad z pojemnika, i to z plastiku, a nie ze szklanego słoika. Kto teraz używa szkła do przewożenia czegokolwiek z żywności? Naiwni i przerażeni liczbą ludności napływowej warszawiacy w drugim pokoleniu co najwyżej.

No, tak, jestem ludnością napływową, nie mam aż takich znajomości, zatem... zatem wypadłam z roboczego obiegu. Siedzę sobie w domu, od dłuższego czasu. Zajmuję się pierdołami albo niczym się nie zajmuję. Moje poszukiwania pracy to ciężka robota, ale... no, dobra, każdego dnia zaglądam na najważniejsze strony dla poszukujących pracy. Coś znajduję, coś wysyłam, jakieś cefałki czasem umotywowane listem motywacyjnym, z niską nadzieją na jakikolwiek odzew. Czasem się odezwie eRekruter, który mi wdzięcznie odpisuje, że dziękuje za udział w procesie rekrutacji. Automat. Który. Mi. Dziękuje. Za to, że nikt nawet nie otworzył załącznika. Nie wykonał telefonu, aby choć przez 5 minut ze mną porozmawiać. Nie wysilił się, aby się ze mną spotkać.

Może umyję głowę. Włosy widać, nawet gdy wyjdę jedynie wyrzucić śmieci. O, to dobry pomysł.

Z myciem generalnie mam problem. Bo niby powinnam. Bo higiena i te sprawy, tylko po co. Nie, na żel pod prysznic, tani bo tani, ale zawsze, jeszcze mnie stać, ale jaki sens ma mycie, skoro prawie nie wychodzę z domu. A w domu się raczej nie ubrudzę, nie przepocę za bardzo ubrań, zresztą pół dnia chodzę w pidżamce, a drugie pół w starych dżinsach, t-shircie i starym polarze, który od wielu lat nie chce się porwać. Więc myję zęby, bo dentysta jednak sporo kosztuje. Nawet gdyby miał jedynie wyrywać zęby. I pioreę ubrania, ale zbieram je tygodniami. W jednym pioreę ciemne, w drugim jasne. Czasem.

Do południa jakoś zleci. Czasem przyjdzie listonosz i przyniesie jakąś wygraną w konkursie albo wrzuci list do skrzynki i trzeba go wyjąć. To na pewno rachunek do zapłacenia, bo nikt już nie wysyła listów w tradycyjnej postaci. Czyli rachunek. Czyli kolejna niespodzianka, bo może za gaz, który miał stanąć o 10%, ale rachunek, na wszelki wypadek, wzrósł o 30%. Albo podatek od nieruchomości. Bo nieruchomość mam. 30 m kwadratowych. Na kredyt. Na 30 lat. Czyli w zasadzie jest to nieruchomość nie tyle moja, ile banku. Przez wiele, wiele lat. I w przyszłym miesiącu już nie będę miała kasy na zapłacenie raty kredytu.

Właśnie przejadam ostatnie oszczędności. Zasiłek mi wystarcza ledwie na opłacenie mieszkania, może prądu. I to by było na tyle. Za chwilę zresztą zasiłek też się skończy. Bo tak. Może dostanę zasiłek z pomocy społecznej.

W zasadzie powinnam tryskać optymizmem, ale mam to w dupie. W kraju kryzys, chociaż złotouści politycy usiłują mnie przekonać, że to nie jest prawda, że to spowolnienie, że to

minie. Minie. Zwolnią kolejnego prezesa/dyrektora/doradcę w państwowej firmie, wypłacą mu wynagrodzenie za rok pracy, zatrudnią nowego-swojego i jakoś się ten biznes potoczy. A ja? Ja nie będę mieć na chleb. Będę mieszkać w nowym budownictwie, modnej dzielnicy, pośród w miarę drogich mebli, z bambusem na podłodze i płytkami, a moje oblicze odbije się w szklanej szafie na zamówienie, ale nie będzie mnie stać nawet na najtańszy chleb w markecie.

Mogłabym nie wstawać z łóżka, bo po co. Mogłabym pójść do lekarza, najlepiej psychiatry, bo to pewnie depresja, ale nie stać mnie na wykupienie leków, więc jaki to ma sens. Ba, nie stać mnie na bilet miesięczny, a bilety jednorazowe teraz też już kosztują tyle, co chleb na dwa tygodnie dla mnie. Stojąc przed wyborem chleb czy bilet, wybiorę chleb.

Ostatnio się wściekłam, bo przeczytałam, że niektórzy nie potrafią się nawet przygotować do rozmowy rekrutacyjnej, że niby złe fryzury i niemodne buty. Dobrze, że chociaż te buty są całe, ale szkoda, że nikt nie pomyślał o tym, że tych ludzi może być tak po ludzku nie stać. Ani na fryzjera, ani na lepsze buty, ani na bilet, żeby dojechać. Tylko kto to zrozumie? Ktoś, kto odważa rekrutacyjne spotkania tylko dla formalności, bo przecież i tak jest już ktoś, kogo zatrudnią? Ktoś, kto dostaje regularne wynagrodzenie? Ktoś, kto wykona jeden telefon i dostanie lepszą pracę, za lepsze pieniądze?

Nie palę, więc nie muszę się zastanawiać, skąd wziąć papierosy na kolejną paczkę papierosów. Na prochy też mnie nie stać, więc nie stanę się nagle narkomanem. Alkoholikiem też nie

będę, bo głupie piwo kosztuje najmarniej 2 złote. Dużo, jeśli przelicza się kilka razy każdą złotówkę, którą trzeba wydać.

Herbata mi wystygła. Co nowego na moich ulubionych fanpage'ach? Niewiele. „A co wy robicie w pracy?”. Korzystamy z facebooka, idioto. Ciekawe, ilu waszych fanów naprawdę pracuje, a ilu to jedynie ci, którzy siedzą w domu i liczą na lepsze czasy?

Jak nisko można upaść? Nie wiem. Widziałam reportaż o młodych ludziach, którzy żyją w kryzysie w Hiszpanii albo w Grecji. Kraj nie ma znaczenia, znaczenie mają detale - własne kury, które się przechadzają po podwórku (dają jajka, a w ostateczności będzie mięso na obiad) i przywiązaną do balustrady kozę. W środku miasta, w europejskiej stolicy, w normalnej rodzinie (czyli nie nielegalni imigranci). Początek XXI wieku i wracamy do własnego zbierania płodów ziemi na własne potrzeby. Co będzie dalej - sianie pszenicy i jej przecierania w żarnach, aby była mąka? Ule z pszczołami, poustawiane na balkonach, aby mieć miód? Ziemniaczane krzaki w skrzynkach na oknie? Jak nisko uda się nam upaść?

Nam, wykształconym. Nam, mającym więcej niż jeden kierunek studiów za sobą. Co z tego, że potrafię wykonać skomplikowane wyliczenia w Excelu, skoro nie potrafię np. spawać rur czy układać płytek, a właśnie takie umiejętności są teraz w cenie? Co mi przyjdzie po znajomości języków obcych, skoro nie wiem, jak się szyje na maszynie albo obsługuje system Poltax (co to za cholerstwo? Że niby coś od podatków, bo ma tax w nazwie?). Zresztą jestem over educated i to nie ulega wątpliwości. Trzeba było poprzestać na liceum

ogólnokształcącym i zostać przedstawicielem handlowym. W sprzedaży praca jest podobno zawsze, tylko nie bardzo kto ma te produkty kupować w sklepach, ale tym się nie przejmujemy. Kiepska sprzedaż to wina tylko i wyłącznie kiepskich przedstawicieli handlowych/specjalistów ds. sprzedaży/merchandiserów, którzy nie potrafią wyeksponować towaru na półkach w taki sposób, aby klient chętniej po niego sięgnął.

Mój zawodowy profil nikomu do niczego nie jest potrzebny. Dobiegam 40, pora na własny biznes albo na wypadnięcie z zaklętego kręgu firm. Nie mam dzieci - tym gorzej. Gdybym miała - też by mnie nie chcieli zatrudniać, bo dzieci chorują, i to często. A tak nie ma dzieci, ale i nikt o to nie dopytuje, wychodząc z założenia, że dzieci owszem, są. Dzieci nie ma, życiowego partnera nie ma. Życiowi nieudacznicy, jak ja, nie mogą mieć życiowych partnerów. Zresztą prawie nie wychodzę z domu, więc gdzie i kiedy niby miałabym go znaleźć? A przede wszystkim - po co? Popłakać mogę sobie w samotności.

Rano z ledwością zwlekam się z łóżka, bo nawet gdybym w nim została, to i tak nie miałoby to większego znaczenia. Naprawdę. Mogłabym spędzić dzień w łóżku, bo w zasadzie nie mam po co wstawać. Wykonywać taki zbędny wysiłek? Po co? Na co? Do sklepu mogę chodzić raz w tygodniu, jeśli nie rzadziej.

Oho, znowu się drze. Sąsiadka. Z góry. Potrafi w ciągu dnia jęczeć, po to, by koło północy zacząć opierdalać jakiegoś faceta (zakładam, że partnera, ale kto to może wiedzieć na

pewno), rzucać kurwami i rzucać meblami. Czasem krzesłem, czasem szafką. On za to nie pozostaje jej dłużny i punktualnie o 6 rano, punktualnie, gdy kończy się cisza nocna, najlepiej w sobotę albo niedzielę rano, puszcza na full jakąś Lady Gagę, Gangnam Style albo inny dyskotekowy, wkurzający bitami kawałek. Tak głośno, że parę razy podniósł mnie z łóżka o rzezonej 6 rano, w niedzielny poranek, a muzyka waliła po uszach zupełnie jakby stała obok mnie kolumna z powtarzalnym umc, umc, umc.

Koło południa odbiorę telefon od matki. Wszystko fajnie, wszystko cacy, co robię? Nic nie robię, jak zwykle przecież. Wstałam, zjadłam śniadanie, wypiliśmy kawę, poszukałam pracy i już południe. Włączę za chwilę ulubioną stację radiową z kojącym głosem prowadzącego, który działa jak balsam na wszystkie laski. Nie, nie włączę, bo mnie wkurza od dłuższego czasu. Muzyka powtarzalna, z nieprzeciętnym natłokiem głupawych polskich kawałków. Plus lata 80., z których pora wyrosnąć, bo dzieciństwo zakończyło się niewątpliwie wraz z ukończeniem szkoły średniej albo wraz z odebraniem dowodu osobistego, do wyboru, do koloru.

Telefon milczy jak zaklęty. Wysyłam cefalki, nie ma odzewu. Sprawdzam, bo może nie działa. Chyba działa. Świeci się, gdy odblokować ekran i go dotknąć. Może wykonam testowe połączenie. No, działa. Ale nie dzwoni. Dlaczego nikt do mnie nie dzwoni? Nie ma takiej potrzeby. Znajomi się skończyli wraz z zakończeniem „kariery” w ostatniej firmie. Znajomi z wcześniejszych miejsc pracy są życzliwi, uśmiechnięci, ale to takie towarzystwo na jedno piwo w roku, mam ich na facebooku,

wystarczy, na krótkie wiadomości tekstowe nie oczekuję. Nie od nich.

I obsesyjnie myję ręce. Po przyjściu do domu. Po zakupach w sklepie i po trzymaniu się poręczy w komunikacji miejskiej. Po obieraniu ziemniaków i po dotykaniu foliowych torebek.

To w sumie dziwne. Ledwie daję radę ściągnąć się z łóżka, z konieczności myję zęby, a mycia reszty w zasadzie unikam i robię to wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne, ale ręce myję obsesyjnie. Kilkadziesiąt razy dziennie. I nacieram kremem, o ile nie zapomnę, a to nie jest takie pewne.

Skąd mi się to wzięło? Od czasu, gdy moja przyjaciółka urodziła dziecko i każdego katowała myciem rąk na wejściu. Bo dotykałaś siedzenia w komunikacji. Bo zarazki, bakterie, syfy na dłoniach, a tu małe dziecko, które nie może absolutnie dać się zarazić. Skuteczne to o tyle, że na gripę nie zachorowałam, a przecież się nie szczepiłam. Ok., ok., nie miałam też zbyt wielu kontaktów z innymi, żywymi, mniej lub bardziej normalnymi ludźmi.

A, pierdolić to. Kryzys. W portfelu, na koncie. W życiu. W życiu. Pesymistycznie patrzę na wszystko, bo niby skąd mam wykrzesać choćby iskierki optymizmu? Radia nie słucham, wkurza mnie słuchanie tej samej playlisty od tygodni. Telewizja. Zbędny wydatek, abonamentu nie płacę, ciekawe kiedy odkryje to krajowa rada albo naśle na mnie mojego własnego listonosza. A, pieprzyć to. Telewizora też nie mam. Pozostaje Internet, bo przecież na zakup gazet mnie nie stać. Od tygodni. A Internet zalewa mnie polityką, plugawym językiem o osobach społecznie

nieprzydatnych, bo nie posiadających dzieci. Ciekawe. Niby skąd te dzieci, skoro jesteśmy zmęczeni, zbyt zmęczeni, żeby nawet nas było stać na seks? A bez tego się nie da. Nie budujemy bliższych relacji, bo mamy kredyty, którymi nie chcemy się dzielić. Mamy mieszkania, które są puste i skutecznie nas przywiązują do konkretnej dzielnicy w konkretnym mieście. Albo nie mamy pracy. To jest nasz największy koszmar - brak pracy, roboty, bez konieczności chodzenia na tak zwany zakład. Zero regularnych dochodów, za to może czasem coś na lewo, pod biurkiem, z ręki do ręki, żeby nie trzeba było wykazać w podatkach i żeby ZUS się nie dowiedział. Absolutnie.

Jak tu mieć społeczną przydatność, skoro nie ma się rano sił, aby zwlec zwłoki z łóżka? Ja nie mam nawet przydatności ekonomicznej. Za to pragnę życia doskonałego. Finansowo. Emocjonalnie. Pełnego spełnionych marzeń. O miłości. O przyjaźni. O seksie z ciągiem dalszym i o interesującej pracy.

Nie, pragnęłam. Teraz szukam inspiracji, aby wyłączyć rano budzik, wstać i z entuzjazmem rozpocząć dzień, a na koniec mieć satysfakcję, że skończył się on choć jednym pozytywem. Choć telefonem z zaproszeniem na rozmowę.

Ale komu jestem ekonomicznie potrzebna? Statystycznie.

Jak co dnia położę się spać późno. Gdzieś koło 2 nad ranem. Pokręcę się w łóżku przez godzinę albo dwie, będę miała jakieś koszmary, a potem w okolicach rana... trzeba będzie wstać, wziąć się za bary i poudawać zaangażowanie.

* * *

Czy łatwiej jest umrzeć czy zmartwychwstać?
Któż by nie myślał widząc, jak składamy
wszystkie rzeczy z ducha i ciała,
że ta mieszanina jest dla nas
bardzo łatwa do pojęcia? Jak śmierć
setek tysięcy ludzi na filmach akcji,
albo w takiej Gomorze. Gdy w szpitalu
umierała babcia, to nawet wujek się popłakał,
choć czekał na duży spadek i podawał jej tlen
mimo że miał spore długi. Nikt nie myślał
o cytacie z Pascala. Stare porzekadło mówi:
kto prowadzi dwa do zera i nie wygrywa w trzech setach,
przegrywa w tie-breaku. W rodzinie zawsze się kłócili
nie tylko o pieniądze. Tu chyba chodzi
o ten moment kiedy mamy pewność,
że ktoś jest bezbronny ostatecznie i możemy odpuścić
nawet przy stanie dwa do dwóch. Przy łóżku.
Jakby stać nas było na wstępie do niewytłumaczalnego.
Nad głową babci miarowo sapał respirator.
Wyobrażałem sobie, że jest to kołysanka
na jaką może się zdobyć NFZ. Skończył się obiad z dwóch dań.
Czekaliśmy, że pielęgniarka przyniesie deser
w kilku kropkach. Leguminę. Ale żadnych słodkości
oprócz zapachu na sali. W której ze wszystkich sił
staraliśmy się zatrzymać duszę i uniemożliwić babci

z martwych wstanie do lepszego świata. Choć nie wierzyliśmy, że babcia wstanie o własnych siłach. Podnosiliśmy się na duchu, a nadzieję czerpaliśmy z respiratora jak z podajnika cudów. Dopiero jednostajny pisk i kreska na monitorze wydobyły z nas zupełnie niekontrolowane emocje.

DENOMINACJA

Biblioteka. Stacja paliw literackich.

Energia potencjalna piękna zgromadzona na półce
nic nie wie o kinetyce. Zagrzebane artefakty sprowadzone
do poziomu

plików w systemie naczyń połączonych. Przedmioty stają się
podmiotami zdolnymi przemawiać. Radio podaje
długoterminową prognozę pogody dla poetów.

Przyszłe stulecie nie zachęca do pisania. Poeci to twarde sztuki.

Lubią działać wbrew czytelnikowi, posiać igłę w stogu literatury.

Zaufać rachunkowi nieprawdopodobieństwa. Szaleństwo
na wyciągnięcie ręki. Jedyne strach przed ośmieszeniem

daje nam po łapach. Można nas uznać za powściągliwych
tylko wtedy, gdy naszych myśli nie zamieniamy na dźwięki.

Nie ma ryzyka.

Ten, który nie ciska kamieniami trwa przyuczajony z plastrem
na ustach,

też będzie wezwany na Sąd Ostateczny. To co w nas siedzi
jest tajemnicą, która przekazywana jak przez głuchy telefon
staje się monetą obiegową podlegającą ciągłej dewaluacji.

JAKOŚCI

Światło odbija się echem.
Jak uporczywa czkawka,
przyroda uparcie trzyma się
scholastyki. Jesteśmy w cyklu,
którego nie dostrzegamy. Za płytko
kopiemy w ziemi, żeby zrozumieć. Drzwi
czasem otwiera nam Darwin,
czasem Tertulian, poeci też.
Wiele zaciemniają, fałszywym światłem
również można nasycić kolory.
Wiedzę czerpiemy z marnej jakości
fałszywych odbitek.

* * *

Byłem denerwujący jak krosta w nosie,
stawiano mnie pod ścianą za wzór
niegodny. Do naśladowania dla przyszłych świętych
chyba, że prostą drogą pragną zejść z prostej drogi,
a była to przecież szkoła katolicka. Nieznająca sprzeciwu,
raczej kary cielesne i różańcowe. Skupienia, modlitwy,
jako panaceum na każdą chorobę. W nieograniczonych ilościach
bez konsultacji z lekarzem lub farmaceutą duchowym.
Buntem było mieć inne zdanie, nie mówiąc o własnym
spojrzeniu. Spode łba. Krzywo. Wypowiadać się o Tertulianie,
bez kary można było jedynie we śnie. Gdy dusza
opuszcza ciało - według wierzenia Arabów -
ale o tym dowiedzieliśmy się za późno. Dopiero po
przebudzeniu
z apologii ortodoksyjnego chrześcijaństwa. Gdy do uszu dotarło
słowo *fronda*. Stało się ciałem w postaci Awicenny,
który co prawda uznawał Boga za byt
konieczny. Był jednak pewien szkopuł. Materia
zamiast nicości. Myśl zamiast woli bożej. To odchylenie
mogło spowodować wyłom w dogmacie i niedostateczny.
W ocenie naszych postępów ku wieczności.

JAZDA FIGUROWA

Łyżwiarz szybciej wiruje gdy trzyma ramiona.
Blisko ciała. Jest nadzieja na medal. Skąd
przyjeżdżamy, jak nas ocenią? Nie ma czasu
na rozmowę. Podczas potrójnego tulupa.
Najechać tyłem na zewnętrznej krawędzi prawej łyżwy
i odbić się z czubka lewej. Niby nic trudnego.
Punkty są za to co wychwyci oko. Bonawentura na lodzie.
Strach i wiara. Czemu kamery nie pokazują tego,
co najważniejsze. Co dzieje się w sercu szatni.
Gdy trzeba wykonać element programu dowolnego.
Spiralę śmierci.

RENTGEN

Widziałem swoje płuca w pańskich oczach
i inne części ciała budzące podejrzenie
Proszę jednak nie twierdzić
że ma pan czarno na białym
co we mnie choruje panie Rentgen
We mnie epicentrum ludzkiej destrukcji
i tracę grunt pod nogami
Boję się o dach nad głową
a ratownicy pukają się w czoło
że wołam na ratunek
bo ja
to za mało ofiar
szkoda więc sprzętu
i zamiast czerwonego krzyża
pozostał mi tylko siódmy
Palą się domki z kart
i zdolniały płaskowyzę na moim sejsmografie
Nic pan nie wie
co we mnie choruje panie Rentgen

OPOWIADAŁ MI STARZEC

Mogą mi już nie śpiewać
że jeden krok do zakochania
Nauczyłem się koci koci łapci
bo babcia lubi jak przyjeżdżają
I nie śpiewać mi sto lat sto lat
Nie mam na recepty żeby aż tak się przygarbić
Lubię TV bez abonamentu
Wczoraj w sportowej jedynce 0:0 do gwizdka
Na drugim polityka i też remisy partyjne
bo kłamali po równo
W Polsce był strajk
ale bezrobotni mieli przewagę liczebną
a sędzia zamiast chleba czerwone kartki rozdawał
Lubię też filozofem bywać
żeby komuś rozstrzygnąć
czy lepiej płakać w Rolls-roysie
czy śmiać się na rowerze
Nieznany poetą też jestem
kiedy jak po drodze krzyżowej
po tych schodkach na ambone
żeby głosić nocami
nawet do piątej rano
i dlatego nikt nie słyszy
I lubię magię
W świecie magii można wszystko z rękawa

i wystarczy tylko zapłacić za bilet

.....

Chciałbym zegarek nakręcić wstecz

Mam w domu dwa zegary

Brodaty antyk oznajmia kukułkowo

a wisząca unitra śledzi czas w milczeniu

Oba się szczerze późnią

i każdej doby kwadransami premiują mi życie

Boga zawsze miałem w sercu

a teraz na wyciągnięcie ręki

Zatańczyłbym jeszcze raz

O KOBIECIE

Nie musisz zaraz się rozbierać
żeby nie było pokrótce
Do ud droga od ziemi jak do nieba
a centymetrowa skala kłamie
że to na wyciągnięcie ręki
w libidowym raz dwa trzy
Rozbieraj się najpierw zapięta po szyję
w swój szczelnie odziany majestat
i przy muzyce
że nie wierzysz własnym uszom
Potem umowę ciał spiszemy na czas nieokreślony
i w morfinowym zdumieniu
że już niepotrzebny maj
sprzedamy księżyc z gwiazdami za psie grosze
a bramy nieba na trzy spusty
otworzymy jednym kluczem
Nasze rozmowy ciał przy drzwiach zamkniętych
potrwają do rana
a dotykami zdyszanych sylab
stworzą słowa w nieziemskie zdania
i tak po cichu
że palpitacje głośniejsze

JESIENNA IMPRESJA

W pajęczynach czas zamarł
i na bezludnych pokojach
echo zaszyte donikąd
Kobiety tylko na ścianach
ozdobnie w ramach milczą
W kącie kołyska bez amplitudy
a w drugim telewizor o szczęściu kłamię
W telefonie sekretarka gwizdże na prywatny czas
a bieda na ulicy w panoramie okna
drwi z bajek dzieciństwa
Już spokorniały muskuły
i krew nie płynie do czynu
a czarne kadry film tworzą
i projekcji nie widać końca

DZIEJOWY EPIZOD

... no i wybuchła sobie wojna
Pogniewano się śmiertelnie na życie
i wystarczyło pieniędzy
żeby nas zrównać z ziemią ciężkim sprzętem
a generałowie nie uważali
i w płaczu wdów nie zabrakło tonacji
na nowy hymn zrzeszenia sierot
Po uzgodnieniach trzech stron
/dwóch się biło a trzeci skorzystał/
kamienie węgielne zakwitły
ale znowu zapomniano wybudować most
w cztery strony świata

KRZYK (Z OBRAZU E. MUNCHA)

słońce chyliło się ku zachodowi
kiedy niebo nad fiordami
załała purpura
krew zmieszała się z ogniem
niosąc żar
big bangu natury
Krzyku który trwa

sprzedano go na aukcji
w Nowym Jorku
za sto dwadzieścia milionów dolarów
nieśmiertelność bije wszelkie rekordy

TAJEMNICA OBRAZU

paranoiczne jasnowidzenie mistrza
na dworcu w Perpignan
który stał się pępkiem świata
węzłem kolejowym w objęciach Chrystusa
w złocistym olśnieniu krzyża maltańskiego
atawistycznego letargu zmysłowej ekstazy

spadający z nieba Dali szybuje ponad swą mużą Gałą
niczym pisklę co wypadło z gniazda
w epicentrum kosmologicznego olśnienia
w winie skonsumowanej erekcji chłopki z obrazu Milleta
zatapia się we wspomnieniach cielesnych erotycznych tacek
i wizjach własnego kompleksu Edypa

żółte światło bije z obrazu jak rozpalone słońce
jak żółtko rozbitego jaja rozlewa się w marzeniach
o powrocie do upragnionego łona matki
by tam zastygnać bezpiecznie
w kokonie własnego kosmosu

IMPRESJA SENNA SALVADORA

zawisła w beładzie monstualna poczwara
jak worek szczelnie wypchany sennością
unosi się w przestrzeni surrealistu
pozbawionej grawitacji
porywa się i wznosi
opada na kule
ugina się pod ciężarem
przez uchylone usta ciężko oddycha
zwinięta skóra czoła zawisła na nosie

serce mistrza ogarnia przerażenie
sen kamienieje w obrazie

klucz do niego ma Freud

KOCHANKOWIE I GŁOGI - PODŁUG OBRAZU E. BURNE'A MIŁOŚĆ WŚRÓD RUIN

Nikt nas tu nie wyśledzi - spójrz: kołące łodygi, mech
Zaznaczył pieczęcie na strzaskanych kolumnach;
Tu tylko echo mieszka i wijące się cienie.
Drzewko pinii i głóg.

Z tryglifów nie zerkają tłuste, kamienne putta - zmierzch
Rozmazał na tynku rachityczne czerwienie.
Tli się w plamach podobnych do popiołu czy wosku
Nasza miłość i senność.

Jeszcze chroni nas przestrzeń, wyznaczona kwitnącą
Giętą gałęzią głogu. Stąpa wieczność - ostrożnie
Na antycznych koturnach. My
I pomruk eonów...

Lecz jutro nas nie będzie. Jutro jedynie ptaki
Sfruną, zakładać gniazda - skrzętnie zbiorą zgubione
Włosy i strzępy sukna. Może
Skrzydłem wyrzeźbią płytkie blizny
W powietrzu..

„JARMARK” Z KRĘGU DAVIDA VINCKBOONSA

wieś ziewa chwiejbą złotych, napęczniałych kłosów;
jesienność wychodzi z tła - plamy światła skręcone
czarnym wąsem winogron, papilotami wyk.
chrobotania, trzeszczenia suchych strąków grochu.

mak w makówkach grzechocze.
dojrzewają jabłonie, szumią
jodły i klony: pod ich chropawą korą rosną deski
na stoły, na instrumenty.

ciągną wozy na jarmark - płowiejące konduktury
- coraz ciężiej spoglądać
wstecz, w słodkim deszczu owoców czuć zapowiedź
senności.

starość wychodzi z tła - świeci się piasek próchna
kredensów, nakaslików, szuflad, ramek obrazów,
chrzęszczącą dęby, jesiony - pod ich chropawą skórą
rosną deski na trumny.

terkotliwe konduktury powracają z targowisk,
wicher puka, i palcem znów przykleja na płotach
liście - puste koperty, czarne papiloty...

POZNANIE ZMYŚLOWE

promień droczy się z włóczęgą, której szpic łowi światło
i rozbłyska jak sekstant dla lekkich okrętów, płynących
do Pireusu. garść zaciska oś świata - dźwiga rogate
berło.

stukają kopytami niecierpliwe zwierzęta; byk farnezyjski pręży
mięśnie, wznosi kopyta, Dirke myśli cierpienie; strach
i zemstę Likosa. panatejska procesja
z marmuru pentelickiego
sunie ścianą świątyni - wiecznie, w porządku
jońskim: Mojry, twarze Lapitów, centaurowie
z metopy - wszystko trwa, zatrzymane
w ruchu: można policzyć fałdy
szat, musnąć końcem paznokcia sękatych
wolicz karków-w drodze na hekatombę. trzmiel

zatacza krąg ponad
drwiącą głową Gorgony, która śni własną wieczność –tryumf
bieli

marmaros ponad ludzką materią
odwróconą
od piękna skarłałymi plecami.

INGERENCJA

na początek dwadzieścia i pół cala z obwodu,
redukcja tłuszczu i pępek w wyższe miejsce.
biust na dziewięćdziesiąt sześć - podniesiony o trzy i pół.
jeszcze lifting szyi, czoła, worków trosk spod oczu i
policzków zmierzchu, żeby w górę.
czyli - naciągnąć do granic i odciąć fragmenty lat.
a zgryz zgryzot? - uzębienie ma być jak z reklamy pasty colgate
a zacięta linia ust? - poprawiona do uśmiechu i pocałunku.

po godzinach hibernacji, świadomość.
jest ból, ciągnie od skroni do pępka.
że będę szczęśliwa, bo to ból piękna, mam być piękna.
lusterko, ukradkiem...-jestem zmumifikowana?
nie wiem czy to co moje, to wciąż moje?
mijają tygodnie, jest źle, nigdy nie czułam się tak.
czy to depresja?
wreszcie zdjęte opatrunki, etap końcowy - stylistka, wizażysta...
czy zdołam się przeobrazić?
ach i och zachwytów, promienności jak z hollywoodzkich
billbordów.
znowu lustro, to ja? psychoanalityk każe powtarzać, że jestem
piękna.
plącze się wewnątrz - to obce z własnym.
że transformacja fizyczno-psychiczna, że już poza?
że wystarczy profesjonalny makijaż, zaaplikowany podkład,

arsenał cieni, korektorów, konturówek wygładzających,
rozświetlających, zapewniających...? etc.

i metamorfoza, i otwiera się osobowość, ta moja, nowa.

ma być pewność siebie, gracja, radość, piękno -
oklaski!

PROZAC

październikowe dni są jak wysuszone przyjemności,
gdy sen bezsennie wkrada się w końcówki letnich romansów,
powakacyjnych, które bledną jak opalenizna, i jest zimno.

tak - lato służy niewierności, specjalizuje w zdradzie.
według Onfraya *jest rzeźnią albo burdelem*.
to straszne, chociaż wszyscy nie zdradzają wszystkich.

mówisz, że kochanek to odrobina słońca
i, że tańszy od psychologa, bo darmowy.
że, jak odmienna forma degustacji, testowanie perfum...
to brutalne, i zupełnie nie jestem tego pewna.

seks - eksperymentalne laboratorium,
czyli coś tkwi w starożytnej „mądrości”,
że małżeństwo we dwoje?... że należy w trójkę!

choć niewierność ponoć wszystkim jest oprócz szczęścia,
które pobudza apetyt na życie, bez niego świat ciemnieje,
lecz w istocie poszukiwaniem tylko — to wiem.

potem? potem przychodzi lęk, tęsknota za nieistnieniem,
a to jest według mojego jesiennego *splinu*, definicja depresji.
depresji *poniewierności pourazowej*, osamotnienie postępujące,
jak *carcinoma* za pancerzem *keep smiling*.

cena cywilizacji? tak? -jak kamień filozoficzny,
który miał być szczęściem, a jednym z jego imion - melancholia?
powiem, że to jest po prostu flirt ze śmiercią, tak myślę,
bo ta śmierć, ten tyran, jest wszędzie, czuwa, staje się panem,
zatapia w czarnej wodzie...

co ja plotę - zaraz zażyję *prozac*.

WZIĘTE OD STEDA. Z NIM O CZŁOWIEKU

...najlepszy jest rodzaj nijaki...

Edward Stachura

według ciebie ta wyniosłość piersi łabędzia na mieliznach,
to wspaniała okazja porównania do człowieka,
ale zbyt łatwa, więc nie należy nic.

kopać łachy, zgniłe buty, mieszać muł epoki,
w bólu, w śmiechu...
ratować się życiem jak zwyczajnością pospolitą,
ale ono, uważasz, że nijakie.

lecz uderzenia spokojnego powietrza bywają poruszające,
więc w przerwach móc cicho zapłakać, zatęsknić sobie,
za dużo czasami się widzi, o wiele za dużo.
za dużo zamyśleń nad kuflem życia.

mimo wszystko być w tej rekonwalescencji.
i niech rodzą się myśli tajemne - szczególne, ty je znasz.
one wierzą w swoje dni. i niech im się spełni...

bo, czy kopiąc w mule, to już z gwiazdką nie zatańczyć,
i nie chcieć po dachach twoich - cuarto menduande?
wydobywać z siebie choć trochę zdań ciężkich, wyrwanych
z samej duszy? - twoja to teoria, i ja to wiem.

bo nawet gdy wszystko nędzne, ma ten swój kolor i zapach,
jak czas życia naszego, gdy ziemia, póki co, nasza.

kopiemy ją, tak: gardło, płuca, ścięgna... ale spokojnie,
dla myśli, tej o wiszących ogrodach, w cichej tęsknocie,
bo krew z zakłutej wargi jest jak uśmiech i jak smutek -
razem wzięte, znam to.

i chcę jak ty - że jeśli się było, to się jest.
bo to czas nasz, choć niewieczysty.
żeby tylko „im" nie przyszło o nas zapomnieć.

że jak?
że tylko przy kiosku z piwem rzeczy tak naprawdę mówią?

* * *

Chmury podniecone radośnie przedwiosenną gonitwą bawiły się w chowanego z pomarańczowym słońcem. Raz za razem ciepła łuna spływała na świat, głaszcząc przygniecione trawy ulizane przez śnieg. Dzień kończył się pięknie, więc Stefcia postanowiła wyjechać ze Staśkiem do ogrodu. Z niemałym trudem ubierała go, mówiąc do niego cały czas, jakby ciągle miała nadzieję, że jej mąż kiedyś wstanie z wózka i odpowie jej, przytuli. Mężczyzna siedzący na kanapie odzywał się tylko z rzadka, prosząc zwykle wtedy o dodatkową tabletkę środka przeciwbólowego lub leku na duszność. Choroba dokonała totalnej degradacji w ciele i umyśle tego energicznego kiedyś człowieka. Długi czas leczył ludzi dotkniętych takimi chorobami i nawet mówiono o nim, że jest naprawdę dobry. Teraz ledwo uszedł z życiem, gdy żelazna obręcz zacisnęła się wokół jego własnego serca.

Stefcia nie narzekała jednak zbyt mocno. Przecież jednak żył, ciągle był obok. Niedołężny, zapominający słowa, upuszczający przedmioty, ale ciągle był.

Stali już przed wielkimi drzwiami salonu otwieranymi w stronę ogrodu. Zawiązując mu szalik pomyślała o swojej przyjaciółce, Krysi, której mąż nie miał tyle szczęścia. Znalaziono go martwego w warsztacie na działce. To także był ciężki zawał. Krysia powiedziała potem coś, co zapadło jej mocno w pamięć.

- Wiesz, Stefa - tak zwracała się do niej przyjaciółka - mój sąsiad jest niewidomy. Codziennie widzę, jak jego żona i córka prowadzą go przed blok, by posiedział na ławeczce,

pooddychał świeżym powietrzem. Niechby mój Heniek nawet był niewidomy, nawet na wózku. Opiekowałabym się nim, niechby nawet...- tu Krysi zwykle łamał się głos i łyzy ciekły po policzkach. Gdy Stasiek jest w gorszej formie i ma trudności z podniesieniem się z łóżka, Stefania przypomina sobie te słowa i jest wtedy mocniejsza. Dziękuje Bogu za kolejny dzień spędzony wspólnie. Za to, że zima ustępuje i piękne słońce ogrzewa kojącą przestrzeń ich ukochanego ogrodu.

Otworzyła drzwi, po czym wyjechała wózkiem przed dom. Zaciągnęła się rześkim, wilgotnym powietrzem i spojrzała przed siebie. Rzędy iglaków stałe w uczuciach do swojej nieziennej zieleni, poprowadziły jej wzrok w stronę altanki pokrytej uschniętym winogronem. Ruszyła powoli, popychając przed sobą siedzącego na wózku mężczyznę.

Pamiętasz, Stasiu, jak zdobyliśmy ten nasz drewniany płot? - pytała jak zwykle na tych spacerach, uśmiechając się na wspomnienie radosnych lat wicia wspólnego gniazda.

A ten stolarz, co nam robił huśtawki, pamiętasz? - snuła monolog, wiedząc, że Stasiek od dawna nie jest w stanie przypomnieć sobie wydarzeń z tamtych czasów.

On umarł - usłyszała odpowiedź męża.

A więc pamiętasz! - wykrzyknęła, zachodząc wózek od przodu. Spojrzała na twarz Staśka. Była jasna, oczy wyraziste, żywo patrzące przed siebie.

Jak tu pięknie, Stefcia - powiedział cicho mężczyzna, czując, że żona tuli się do niego. Na policzkach poczuł mokry dotyk.

Ty płaczesz, Stefcia? - przytulił ją bez trudu obejmując w pasie - nie płacz, będzie dobrze, zobaczysz.

Nie zdziwił się nawet, że udało mu się wstać z wózka na własne nogi. Nabrał chłodnego powietrza w płuca mocno, aż zakręciło mu się w głowie. Spojrzał na słońce, które stało już nisko nad horyzontem. I nagle dotarło do niego, że pamięta bardzo dobrze wszystko z ostatnich trzech miesięcy swojego życia. Świadomość tej wiedzy zaskoczyła go początkowo, ale z sekundy na sekundę zaczęła go przerażać. Przypomniał sobie, jak zasnął na dyżurze wchodząc po schodach po zakończonej na OIOM-ie reanimacji. Już za chwilę zajął miejsce kobiety, której nie udało im się uratować. Ostry ból klatki piersiowej, krzyki przestraszonych pielęgniarek, migające nad głową świetlówki korytarza i znajoma twarz anestezjologa pochylająca się nad nim z wyrazem najwyższej troski.

- Spokojnie, Stanisław, wezwałem już Krzyśka, oddział jest już pod jego opieką, oddychaj spokojnie - słyszał gdzieś obok, podczas gdy sala reanimacyjna wirowała mu przed oczami.

Pochylił głowę na bok i zobaczył, jak wywożą zmarłą przed chwilą pacjentkę. Potem stanął nad nim jego kolega trzymając w ręku długą igłę.

Nie będzie bolało, Stanisław, masz tamponadę osierdzia, muszę kłuć - dotarły do niego słowa i wtedy uświadomił sobie, że gdzieś to już słyszał. On sam wypowiedział podobne zdanie, gdy na stażu do kardiologii stał nad umierającym mężczyzną. Zapamiętał, że pacjent miał siwą brodę i bujną siwą czuprynę, kontrastującą upiornie z purpurowym kolorem jego niedotlenionej skóry.

Panie kolego, proszę kłuć, póki krew krąży - przypomniał sobie ponaglenia kierownika specjalizacji. Mężczyzna leżący

przed nim już prawie nie oddychał. Był nieprzytomny, pomimo to Stanisław zapewniał go, że nie będzie bolało. Stał nad nim z tą długą igłą w rękach i zastanawiał się, czy to ma sens.

Kolego, kiedyś trzeba się nauczyć - usłyszał znów głos rozsądku zza pleców. Ale pacjent ciągle jeszcze żył, choć zaniechano już czynności reanimacyjnych. Na monitorze pojawiały się słabnące impulsy umierającego serca. Stanisław czuł, że zdobywając wiedzę w taki sposób okradał tego człowieka z resztek życia. Z przywileju umierania w spokoju.

Silny ból poniżej mostka brutalnie odciął go od rozmyślań. Jego kolega, anestezjolog nadziewał go na kilkunastocentymetrową igłą, próbując dotrzeć do otaczającego serce płynu. Wspomnienia zgasły boleśnie.

Znów stał w ogrodzie, a słońce właśnie zachodziło za widnokrzem. Otrząsnął się i spojrzął do tyłu. Jego żona Stefcia klęczała, obejmując jakiegoś człowieka siedzącego na wózku inwalidzkim. Od strony ulicy biegli sanitariusze taszcząc nosze i reanimacyjne torby. Za nimi, bardzo powoli, zbliżał się mężczyzna w czerwonej kurtce służb medycznych. Był bez czapki, więc z daleka dostrzegł jego siwą brodę i zupełnie białe włosy. Gdy zrobił jeszcze kilka kroków, Stanisław rozpoznał w nim tego człowieka, który zmarł mu kiedyś na dyżurze, zanim wbił w niego ostrze długiej igły. Blondyn szedł do niego spokojnie i ciepło się uśmiechał.

OKNO RENESANSOWE I

życie utkwiło w renesansowym oknie
i nie chce stamtąd wyjść
choć pluszowe zasłony nie są najcięższe
tyle w nich kurzu
trudno oddychać
a życie lubi wielkie przestrzenie ziemi
nieba powietrza autostrady chmur
piękne widoki a w nich góry morze
flamandzkie żaglowce
piękne jak sen
życie lubi życie
lubi siebie
a ja renesansowe okna
na obrazach wybitnych malarzy
chciałabym zobaczyć tam
cały mój świat

NA MOŚCIE PRASKIM

W tłumie turystów się zagubiłam, gdy przez most Praski
przechodziłam.
Przewodnik z grupą odszedł daleko, a ja zostałam
i podziwiałam.
Wielu artystów tam pracowało, grało, śpiewało, malowało.
Swoim talentem zachwycało. Co kilka kroków, to coś nowego,
coś ładniejszego i ciekawszego. Wszystkim swe oczy chciałam
nacieszyć,
gdy czasu mało, musisz się spieszyć. Widziałam jeszcze narkomana.
Siedział skulony pod zimnym murem, młodą twarz zakrył kurtki
kapturem.
Mówię mu - Synu! Czy warto tak życie marnować! Kiedyś na
pewno będziesz żałować.
Tłum się przemieszczał we wszystkie strony, a tu narkoman
człowiek stracony.
Nikt go nie dostrzegł, grosza nie rzucił, nikt jego losem się nie
wzruszył.
Długo patrzyłam na dzieciaka, jakże strasznego chuderlaka.
Dziecko tak bardzo zaniedbane, jakby przez wszystkich zapomniane.
Człowiek dostrzega to, co jest piękne, gdy jest mniej piękne, jest
obojętne.
Gdyby się wszystko dostrzegało, zła wiele by się powstrzymało
Może ten dzieciak z duszą anioła, były geniuszem w jakiejś dziedzinie.
Dzisiaj mijają go wielkie tłumy, mówią narkoman - on i tak zginie!

POWRÓT DO POLSKI

Miasto na kresach wschodnich. W roku 1920 próbowano je zagrabić i wcielić do sowieckiej Rosji - bezskutecznie. 17 września 1939 roku, na tereny wschodniej Polski wkroczyli sowieccy żołdaci, co było wynikiem postanowienia paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. Propaganda sowiecka uzasadniała swoją aneksję ideą niesienia pomocy bratnim narodom: białoruskiemu i ukraińskiemu. Niemcy pogwałcili ten pakt i zaatakowali tereny Rosji Sowieckiej. W czasie nalotu niemieckich sztukasów 22 czerwca 1941, mama Zofia urodziła chłopca, któremu nadano imię Henryk i ochrzczono później w kościele Franciszkanów. Imię ładne, ale dlaczego właśnie takie? Poród odbył się w... ziemiance, na terenie ogrodów miejskich, miejscu ucieczki przed nalotami niemieckimi, które trwały długo i skutecznie. Spora część miasta ucierpiała i została zniszczona, a walka o miasto trwała 7 dni i 7 nocy. Została pamiątka osobista w postaci pępka zawiązanego przez babkę, a ja z historyczną datą urodzenia znalazłem się na tym świecie, świecie barbarzyństwa, bezwzględnej walki o tereny, wywołanej przez potomków plemion germańskich, gustujących jednoznacznie w wojnach, zdobywaniu nowych terenów i sławnego „Drang nach Osten”. I tak Grodno stało się już wtedy miastem okupowanym, nie wiadomo było jeszcze przez kogo. Po nalotach rodzina wróciła do własnego domu, gdzie zastano bombę, zagłębioną w piasku w piwnicy, która lotem z bombowca niemieckiego, przebiła dach kryty dachówką-karpiówką. Po drodze rozbiła sufit i odtrącając krawędź szafki

kuchennej, malowanej na biały kolor, służącej jako spiżarka domowa, przelatując otwartą klapą do piwnicy, utkwiała tamże w piasku. Bombę potem zlikwidowali saperzy. Tata był cieślą, bo tego się uczył i zbudował sporą część mebli w domu, do których należała też sławna szafka kuchenna, ale w Grodnie nie zajmował się już tym zawodem. Trzeba było robić to, co dawało chleb dla rodziny. Początkowo, w czasie okupacji pracował przy sortowaniu odzieży używanej. Szukał jednak lepiej płatnego zajęcia. Tutaj wspomógł go zdobyty zawód sanitariusza w wojsku, dzięki temu uzyskał pracę w szpitalu miejskim (wojskowym). Z pewnością pomogły tu też znajomości. Często przynosił od rannych żołnierzy niemieckich różne wiktuały dostarczane im przez rodziny z dalekich Niemiec, a były i czekolady z pamiętnym nadzieniem miętowym, cukier, różne cukierki i wiele innych produktów. Żołnierze - szczególnie wyżsi rangą, będący pacjentami chirurgii lubowali się w polskim bimbrze. On był dostarczany ze wsi Szydłówka, przez rolnika Króla, znajomego jeszcze przed wojną. Przywoził furmanką mąkę, ziemniaki i inne produkty uzyskiwane z rolnictwa, a w zamian zabierał na wieś cukier, mydło, sól, zapałki i inne rzeczy. Pewnego letniego dnia podjechała pod nasz dom dorożka z dwoma niemieckimi oficerami. W domu popłoch. Po wejściu powiedzieli, że przyjechali po... bimber i odjechali. Przychodził czasem sąsiad z naprzeciwka ze skrzypcami i pięknie grał. Ja wyjmowałem z szafki kuchennej bimber w litrowej, ogromnej butli, a tata nalewał kieliszek jemu i sobie. Pewnego razu sąsiad stwierdził, że jestem ładnym chłopcem i powinienem być... księdzem. Gdy dowiedziałem się, że ksiądz

nie może mieć żony, stwierdziłem, że na pewno nim nie będę. Wszyscy domownicy, łącznie z gościem śmiali się, a ja nie wiedziałem, z jakiego powodu. Lubiłem siadać w oknie z kromą chleba maczanym w wodzie, posypywanym cukrem i narzekać, mówiąc: „Boże, Boże, jak pociąg pojedzie do Białegostoku, kiedy mokre szyny?” Gdy pojawiała się dostawa soli, wszyscy pędzili na rampę kolejową, z kartkami na sól i stali w długiej kolejce, żeby ją dostać. Miałem trzy lata, brat miał opiekować się mną, a mama pobiegła na rampę. Tata był w pracy w szpitalu. Brat pobiegł do kolegów, na sąsiednie podwórko - ja zostałem sam. Wdrapałem się na wóz z myślą powożenia i... spadłem wprost na zatyczkę koła od wozu konnego (na żelaznych obręczach), którym był gwóźdź potężnych rozmiarów i rozbiłem sobie głowę, szarpiąc czoło pośrodku, w kierunku oka. Na szczęście oko nie zostało naruszone, a potrzebną operację wykonał niemiecki lekarz w szpitalu. Rana się zagoiła i wszystko wrócił do normy. Życie było trudne, wesolych chwil niewiele. W sezonie często na stole gościła lebioda (komosa) i szczaw polny oraz rosół (kury były swoje). Brak było obuwia, ubrań, a ciężar życia odczuwano szczególnie zimą. Grodno zostało wyzwolone od Niemców i przeszło na Republikę Białoruską 16 lipca 1944 r. W końcu nadszedł rok 1945, rok kapitulacji okupanta sporej części Europy i śmierć jego przywódcy. Zaraz pojawił się problem związany z granicą, (jako skutek konferencji Jałtańskiej), która wówczas czyniła z nas ludzi bez nacji. Trzeba było w określonym czasie dać odpowiedź: Polacy czy Białorusini? W domu nastał czas psychozy, kłótnie na okrągło. Rodzice przegadali niejedną godzinę, niejeden dzień, niejedną

noc. Ile było swarów, ile złości, nie wiadomo, do kogo skierowanych, ale najczęściej w stronę nowych właścicieli ziemi grodzieńskiej. Decyzja musiała być podjęta. Był dom, wcześniej zbudowany przez rodziców. Z dalekiej Kamionki, oddalonej o 40 kilometrów, raz na dwa tygodnie szli pieszo na budowę. Dom drewniany, 4 -izbowy, zbudowano o wymiarach 9,5 x 6,4 m. Działkę nabyto od Łazowskiego w 1936 roku, jeszcze przed budową i spisano umowę u notariusza Piotra Choynowskiego. Płacono podatki do kasy miejskiej, a także składki ubezpieczeniowe od ognia. Sowiecki patrol maszerował często chodnikiem pod naszym parkanem, przy którym rosły piękne krzewy, z żółtymi pąkami kwiatów. Na placu przed domem była też wiśnia, a wszystko w myśl starej zasady: każdy mężczyzna winien zbudować dom, mieć syna i posadzić drzewo. Decyzja głowy rodziny była jednoznaczna „Nie pozostaniemy w Rosji! Wyjeżdżamy do Polski i to jak najszybciej! Licho wie, co z nami mogą zrobić. Może wywiozą na Sybir, albo jeszcze dalej?” Mama płakała.

Dnia 25 czerwca 1945 roku przedstawiciel PKWN w Grodnie i prezydent władzy białoruskiej, dokonali opisu mienia pozostawianego w Grodnie, przy ul. Radzymińskiej 27. Z datą ważności do 31 lipca 1945 roku otrzymano zaświadczenie na prawo ewakuacji do Polski. Zaczęło się od nowa płacz i radość, złość i szczęśliwy śmiech. „Jak będzie, tak będzie, ale będziemy u swoich” - mówiła tata.

24 lipca 1945 roku rodzina wyjeżdżała z Grodna. Dzięki znajomościom, tata zdobył samochód i on miał nas zawieźć do Polski. Zezwolenie określało trasę przejazdu - strefa graniczna.

Na samochód, który był szeroki, ale krótki pakowano do „oporu”. Na samym szczycie leżała potężnych rozmiarów blaszana balia obok siedział tata i starszy brat. W szoferce siedziałem z mamą. Prowadził oczywiście ruski szofer. Samochód ruszył i brukowaną szosą kierował się w stronę granicy, w stronę Polski. Sasza cały czas uspakajał mamę. Słońce piekło niemiłosiernie, chciało się pić, pić, pić. Nareszcie granica, składająca się z dwóch słupków opartych na szlabanie z wielkim herbem Rosji Sowieckiej, stojącym przy nim lejtnantem. Na głowie miał wielką czapkę wojskową - jak naleśnik. Z marsową miną i widać było oznaki wyższości nad nami. Na mundurze błyszcząły w słońcu żółte guziki i klamra od pasa, z nieodłącznym herbem Rosji. W pierwszej chwili nie było nutki nadziei na przekroczenie pojazdem granicy. Po drugiej stronie była upragniona Polska. Nie było tam nikogo - ani szlabanu, ani strażnika. W końcu lejtnant otrzymał „dołę” i powiedział do kierowcy: „O piątej po południu masz stawić się na granicy. Wsio jasne?”. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Jesteśmy już w POLSCE! Tata stwierdził, że zajeżdżamy do stryja, do piekarni. Czasu było niewiele. Tata udał się do Zarządu Miasta. Tam odnotowano przybycie rodziny do Polski i zameldowanie pod adresem stryja Michała. Okazało się, że na razie brak lokalu mieszkalnego dla osiedleńców i trzeba czekać. Bracia uzgodnili ze stryjem rozładunek samochodu na placyku za piekarnią. Cześć rzeczy umieszczono w drewnitni. Samochód zwolniono, dziękując szoferowi za szczęśliwy dowóz do Polski. Tata nie decydował się jechać do pobliskiej Kamionki (wieś), a to ze względu na możliwość nie uzyskania mieszkania w mieście.

Stryj po długim namyśle i rozmowie z Józefem, pozwolił nam spać na strychu nad piekarnią. Tam dopiero było gorąco! Wypito hektolitry wody z miętą. Wytrzymaliśmy tydzień. Nagle przydzielono nam mieszkanie, na ul. Grodzieńskiej 57. Mieszkanie okazało się całkiem ładne: dwa pokoje, duża kuchnia, spiżarnia i duża sień. Pod tapetą były pluskwy żarłoczne, wstrętne pluskwy. Walka z nimi do unicestwienia trwała długo, ale zakończyła się sukcesem! Mieszkanie oświetlano lampą naftową, ponieważ nie było dokumentu uprawniającego do spisania właściwej umowy z elektrownią, nie było po prostu dowodu osobistego. Światło elektryczne zabłyśło po tygodniu, zresztą nie bez problemów. Zaczęło się prawie normalne życie. W mieście działała UNRRA - punkt pomocy amerykańskiej dla Polaków. Otrzymaliśmy mąkę, tłuszcz, konserwy mięsne i jakieś ubrania, niestety nie nowe. Smak tej konserwy pamiętam do dziś. Mnie przypadło angielskie paltko, całkiem przyzwoite i nieźle dopasowane. Wreszcie 31 sierpnia 1946 roku tata otrzymał dowód osobisty i następnego dnia rozpoczął pracę w Szkole Podstawowej nr 1, jako woźny. Zaczęło się nowe życie w powojennej Polsce.

DALIBORA - PRZYSTANEK STARCÓW (FRAGMENTY)

Kiedy dojeżdża się do przystanku Dalibora, po przeciwległych stronach ulicy Obozowej znajdują się bazar i dom dziecka. Bazar - po prawej, dom dziecka - po lewej. Bazar na Kole jest jednym z najbardziej znanych miejsc w mieście. Funkcjonuje on kilka razy w tygodniu. Podobnie jak na Różycy na Pradze można kupić tam wszystko. Od starych książek i mundurów wojskowych z czasów II wojny światowej, przez zabytkowe meble, aż do wiejskich, drewnianych powozów, obrazów wyglądających bardzo zacnie, sprzętu fotograficznego, rowerów, czy choćby piratów z muzyką, oprogramowaniem i klasycznymi pornosami.

Ludzie, których widzi się na bazarze na Kole dzielą się tylko na dwie kategorie - sprzedających i kupujących. Nie ma żadnych etapów pośrednich między ofiarowującymi swój towar, a tymi, którzy go kupują albo przynajmniej chcą kupić. (...)

Sprzedający na Kole to z reguły ludzie starsi. Ale nie tylko. Jest wśród kupców także spora grupa osób w średnim wieku, które stale przybywają tam kilka razy w tygodniu, żeby pozbyć się rzeczy, niechcianych już u siebie w domach.

(...) Cały ten tłum wygląda dziwnie. Ni to handlarze, ni to żebracy, ni to bezdomni, którzy na chwilę zamieniają się w akceptowanych społecznie dostarczycieli użytkowych przedmiotów, które tak naprawdę równie dobrze mogłyby wylądować na śmietniku. Kilka razy w tygodniu ci biedni i żałośnie wyglądający ludzie na parę godzin zmieniają się

w prawdziwych uczestników społecznego życia, które nawet przyjmuje ich z zainteresowaniem i pewnego rodzaju sympatią. Widać to i słyszeć podczas rozmów handlowych, w czasie których handlarze i kupujący dobijają targu, śmieją się opowiadając sobie anegdotki, lub gdy po prostu wymieniają uwagi dotyczące pogody.

Kiedy zaczyna padać deszcz najgorzej mają ci, którzy sprzedają prosto z rozstawionych łóżek lub z gazet rozścielonych na zimnym chodniku. Na gwałt zakrywają wszystko foliami, a ci, którzy nie mają folii bezradnie chowają swoje artykuły do toreb albo reklamówek. Najgorzej jest wtedy, gdy deszcz lunie znienacka i równie szybko przestaje padać. Na gwałt chowane przedmioty są równie szybko wyciągane na nowo. Sprzedający wyglądają wtedy na dezorientowanych i widać po nich, że najchętniej rzuciliby to wszystko w cholerę i poszli gdzie nogi poniosą. Nie mogą tego zrobić oczywiście, ponieważ często jest to jedyny sposób, w jaki zarabiają na życie. Po ich twarzach widać wtedy, że są naprawdę wkurwieni. Kiedy jednak słońce wychodzi na dobre zza chmur złość znika z ich twarzy i znowu zabierają się do handlu.

Wśród handlarzy jest zdecydowanie więcej mężczyzn. Kobiety również sprzedają na Kole, ale jakby tak trochę z ukrycia. Zawsze zakutane w jakieś stare chustki, kaptury kurtek przeciwdeszczowych albo po prostu schowane w budach samochodów lub straganów wychylają się tylko wtedy, gdy faktycznie ktoś chce coś od nich kupić. Mężczyźni na odwrót. Zachwalają towary, opisują ich historie, targują się na całe gardło i pakują z pietyzmem nabyty od nich przed chwilą towar.

Na bazarze na Kole mężczyźni pełnią rolę mistrzów ceremonii i wodzirejów handlarstwa. Niektórzy z nich są tak dumni z ubitego przed chwilą interesu, że od razu sięgają po musztardówki, kiedy klient odchodzi z towarem. Często wódka kolegów ze straganów obok i wyglądają na naprawdę zadowolonych, a nawet szczęśliwych.

(...) Zaraz obok kiosku i toi-toika znajduje się przystanek autobusowy, z którego zawsze jeżdżę do Urzędu Pracy na Ciołka. Jeden przystanek, którego nigdy nie chce mi się przejść piechotą. Tam też prawie zawsze i tylko stoją ludzie starsi - wracający z bazaru albo zmierzający w dalsze części miasta. Jeśli wsiadają tam ludzie młodzi albo w miarę młodzi jest to dla mnie sygnał, że pewnie tak jak ja, jadą do Urzędu Pracy. Starzy wracają z Koła... albo... no właśnie... wracają z Koła. Chyba nie ma innego wyjaśnienia.

Koło jest więc miejscem, z którego prawie zawsze wydostają się tylko ludzie starzy. Mają ze sobą jakieś wypchane bóg wie czym siaty, które z ledwością taszczą i wchodzą z nimi do tramwaju. Czasami myślę nawet, że wychodząc z Koła nie można wręcz wychodzić tak zupełnie z niczym. Trzeba mieć ze sobą przynajmniej jakiś drobiazg, który choć odrobinę zaznaczy naszą obecność w tym dziwnym miejscu. Starzy ludzie, którym przyglądam się jak wsiadają na przystanku Dalibora do tramwaju wyglądają jednocześnie na zmęczonych i obojętnych. Czasami tylko, jakby z nienacką i zupełnie nieoczekiwanie wyrwie się któremuś z nich a to krótkie spojrzenie, a to delikatny wyraz twarzy, który wyraża ni mniej ni więcej, ale pewnego rodzaju dumę z tego, co niesie dziadek czy babuleńka w torbie pod

pachą. Jakby to, co kupili na Kole określało ich w całej okazałości i sensie. Nie wiem. Tak ja to widzę.

To, że na przystanku „Dalibora” w stronę Centrum prawie zawsze wsiadają tylko staruszki i staruszkowie zauważyłem już kilka lat temu. I w zasadzie nie wiadomo dlaczego tak jest, bo jak mówiłem, bazar jest czynny tylko kilka razy w tygodniu, a pierwszym skojarzeniem z tą starczą obecnością mógłby być właśnie ten relikwyt handlu w stolicy. Kiedy dzisiaj, w październiku 2012, znowu przejeżdżałem tamtędy, pomyślałem, że starcy mogą mieć jakiś związek z tym, w jakiej dzielnicy znajduje się przystanek „Dalibora”. To stara dzielnica Warszawy i przy tym niezbyt elegancka. Pomyślałem, że może po prostu młodzi ludzie nie chcą tu mieszkać i większość mieszkańców to leciwi warszawiacy. Popatrzyłem jednak uważnie i stwierdziłem, że tak jak na przystanku przed „Dalibora” („Koło”) i na przystanku po „Dalibora” („Deotymy”) do tramwaju wsiadło sporo ludzi młodych - uczniów pobliskiej podstawówki i liceum oraz tak na oko wyglądających na moich rówieśników, około trzydziestolatków. Dlaczego więc starcy upodobali sobie właśnie to miejsce - przystanek „Dalibora”?

(...)

Kiedy tak przyglądam się tym ludziom w jesieni życia nic nie czuję. Patrzę na nich tak, jak patrzy się na przedmioty. Widzę pomarszczoną, ciemniejszą w niektórych miejscach skórę, brązowe plamy na skórze, nie obcięte paznokcie, oczy głęboko zapadnięte do środka twarzy, siwe włosy, twarze obojętne i zmęczone. Dopiero po chwili przypominam sobie jakby, że przecież to ludzie, nie przedmioty. Nie wiem dlaczego,

ale nie czuję wyrzutów sumienia. Nic na to nie poradzę. Po prostu tak ich widzę. Kiedy wmuszam w siebie jakby poruszenie i oburzenie wręcz własną perspektywą czuję, że to nie jest prawdziwe. Czuję to jednak coraz mocniej i mocniej. Jednocześnie nabieram jakiejś takiej dziwnej wściekłości, wściekłości o to, że staram się wmówić sobie coś, czego tak naprawdę we mnie nie ma. Ta starość, ci ludzie, moja oziębłość granicząca z okrucieństwem, a jednocześnie poczucie, że osaczony jestem tą starością tak, jak osaczone jest zwierzę w klatce, które zaraz zostanie pozbawione podmiotowości, życia, istnienia. Po chwili orientuję się, że ta starość jest wobec mnie w jakiś sposób niesprawiedliwa. Dlaczego mam się czuć wobec niej winny? W czym jestem winny wobec starości innego człowieka, który w dodatku domaga się ode mnie jakiejś czci i szacunku? Nie wiem.

Starość rodziców - tak. To dzięki nim jestem tym, kim jestem i w ogóle istnieję dzięki nim. Poza tym jednak, dlaczego zmuszają mnie starcy do czci niezasłużonej?

Gdzie jest i jak określić tę granicę, która oddziela bezinteresowne współczucie i uczucie jedności z drugim człowiekiem od chłodu i braku jakichkolwiek ciepłych uczuć? Dlaczego w ogóle stoimy po jednej stronie tej granicy, a zaraz potem po drugiej? Czy możliwa jest ciągła obecność tylko po jednej stronie tego płotu? Czy czując się źli, faktycznie jesteśmy źli? Czy czując się dobrymi, faktycznie jesteśmy dobrzy? Przecież to jakoś tak karkołomnie wszystko siebie wyklucza. Podejrzewam, że tylko nie czując się ani dobrym ani złym

możemy odnaleźć jakąś prawdę o sobie. Faktyczne istnienie to akceptacja istnienia.

Od czasu, gdy zacząłem zauważać starców wsiadających na przystanku „Dalibora” coś się zmieniło. Staruszkowie (starcy!) zaczęli mnie naprawdę denerwować. Wkurzał mnie już sam ich widok, nie mówiąc o cichym wymuszaniu ustąpienia miejsca na tych, na których akurat trafili. Zacząłem całkiem i zupełnie świadomie wlepić w nich swoje krnąbrne oczy i nie ustępować nawet na milimetr. Wcześniej nawet lubiłem starszych ludzi, tym bardziej, że nie miałem nigdy babci i dziadka.

Od tamtej pory jednak zacząłem nie przepadać za starcami. Zastanawia mnie, dlaczego ludzie starzy wymuszają na ludziach młodych (a właściwie młodszych od siebie) szacunek, tylko dlatego, że są starzy (starsi)? Przecież nie ma w tym żadnej ich zasługi. To jest jakieś oszustwo! To tak, jakbym domagał się szacunku za to, że mam na imię M., a nie na przykład Czesiek. Ta wymuszająca na mnie poczucie wyrzutów sumienia starość wkurza mnie. Zauważyłem, że właśnie ludzie starsi domagają się od innych wyrzutów sumienia. Dlaczego mam mieć wyrzuty sumienia chociaż wcale ich nie czuję, a jeśli nawet, to i tak wydają mi się one czymś sztucznym i nie moim, nie prawdziwym więc. Dlaczego to wymaganie wyrzutów sumienia prawie zawsze odbieram ze strony starców? Bronią starców jest wmawianie wyrzutów sumienia - ot co. To tak, jakbym miał czuć się winny za to, że ktoś spieprzył swoje życie. Nie mówię, że staruszkowie mają spaprane życie; mówię tylko to, że nie wiem dlaczego domagają się oni ode mnie wyrzutów sumienia za to, że są starzy. Jedyne, co tak naprawdę przejmuje mnie

w starszych ludziach, to fakt ich niezaprzeczalnego zmęczenia. Tylko, gdy uświadamiam sobie, że są zmęczeni wszystkimi i wszystkim stają mi się jacyś bliżsi. Tylko zmęczenie starców powoduje, że budzi się we mnie odrobina sympatii dla nich.

Myślę, że starsi ludzie starają się w jakiś sposób bronić przed tym, co (debilnie odrobinę) nazywa się dziś „kultem młodości”. Ta obrona jest jednak paradoksalnie strzałem w kolano. Czasami myślę, że gdyby starcy brali się za bary z młodzieńcami według ich własnych metod krnąbrności i jakiejś bezwzględności wprost, wtedy na pewno to oni byłiby górą.

Starcy, których ja widzę, w jakiś taki żałosny sposób chcą się upodobnić do młodzianków. Żują gumę, a niektórzy nawet używają zwrotów, których nauczyli się od swoich wnuków. Szczerze mówiąc wolę, kiedy nachylająca się nade mną staruszka pachnie cierpkim zapachem dobywającym się z ust niż miętową orbit. To trochę dziwne, ale wtedy mam wrażenie, że obok mnie stoi prawdziwy człowiek, a nie jakaś dziwaczna lalka.

Starcy upodabniają się do młodzieży, a jednocześnie chcą mieć przywileje starców. Nie można być trochę w ciąży i trochę nie w ciąży. Starzy starcy są ok., młodzi starcy nie są ok. Starcy chcą być starzy, a jednocześnie młodzi, a tak się przecież nie da.

Dlaczego starcy chcą coś wymusić na młodszych, a sami nie chcą, by wymuszano coś na nich?

Pewien dobrze znany mi starszy pan ciągle narzeka na bolące go stawy. Jednocześnie zawsze bierze sobie na głowę czynności, które jeszcze bardziej nadwerężają jego bolące ręce.

Kiedy po skończonej robocie siada w fotelu narzeka i biadoli o tym, jak bardzo się naharował i że nie jest już w stanie wytrzymać bólu rąk. Wkurzał mnie tym bardzo i niemiłosiernie, ale w końcu zastanowiłem się nad tym powoli i spokojnie. Doszedłem do wniosków takich oto. Starszy pan jest przekonany, że w życiu nie można robić tego, co się lubi, bo to jest egoizm godny napiętnowania. „Przekonany” znaczy w tym miejscu, że na zewnątrz wyznaje taką zasadę. Jednocześnie w głębi duszy wie, że uwielbia robić to, co uwielbia robić. Nic w tym dziwnego - to najzupełniej normalne. Jednak na zewnątrz nie może pokazać, że zabiera się za coś, co lubi, bo to przecież nie wypada. Stwarza więc sytuację, w której to co robi nadweręża jego zdrowie, a on powiadamia o tym cały świat. Cały świat więc myśli, że starszy pan pomimo bolących stawów musi (musi! I nikt mu w tym nie pomoże, bo tylko on sam wie, jak zrobić to, co właśnie ma zamiar zrobić!) dźwigać toboły, wiercić, przykręcać, nosić, targać i ledwo zipieć z wysiłku. A starszy pan po prostu to lubi. Nie chce się jednak do tego przyznać, więc na całe gardło informuje, że to, co trzeba zrobić może zrobić tylko on, bo nikt inny poza nim.... itd., a w dodatku stawy od tego wszystkiego bolą go i będą boleć jeszcze bardziej (co zrozumiałe!). Prościej byłoby powiedzieć, że coś się lubi i dlatego to się robi, a naprawą stawów można by się zająć chociażby dlatego, że jeśli nie będą boleć, czynność sprawi starszemu panu jeszcze więcej przyjemności. Pewnie kryje się w tym jakaś dziwna skłonność pokolenia ludzi starych, którzy uważają, że dla życia trzeba siebie poświęcić i raz na zawsze zapomnieć, że coś kiedyś się lubiło. To poświęcenie jednak nie

załatwi sprawy. I tak starszy pan będzie lubił to, co lubi, a jednocześnie i tak będzie musiał się z tym ukrywać. Jest w tym jakiś egoizm. Ale taki egoizm, jakby to powiedzieć, sprytnie ukryty.

Kiedy jakiś czas temu zapytałem pewną starszą panią, co chciałaby robić, gdyby nie robiła w życiu tego, co robi, odpowiedziała mi krótko: nic! Prawdę mówiąc trochę mnie to zmartwiło, a trochę rozczuliło. Zmartwiło dlatego, ponieważ nie rozumiem, że można pragnąć nic nie robić. Kiedy nie robi się nic, można tak bardzo zatopić się w sobie, że nie sposób potem wydobyć się z tych wewnętrznych czeluści. Fatalna perspektywa. Rozczuliło mnie jednak to nic nie robienie także, bo doszedłem do wniosku, że pewnie w życiu (w moim życiu też o zgrozo!) można być już tak zmęczonym, że naprawdę nie chce się robić nic poza np. gapieniem się w okno.

Są to dwie perspektywy, których nie rozumiem. Obie należą do ludzi starych. Nie jestem już młody, ale stary jeszcze też nie jestem. A więc ta starość, którą znam nie podoba mi się. Jeżeli starość jest pragnieniem, by nie zmieniać nic, a młodość, by ciągle coś zmieniać, chyba wolę być młody. A jak tu być młodym, kiedy nie jest się już młodym, a ciągle chce się, by było jakoś inaczej. To banalne i głupie pytanie naprowadza mnie tylko i wyłącznie na jedną konstatację. Nie lubię ludzi starych. I pewnie jak sam będę starcem, też siebie nie będę lubił.

Kiedy tak zastanawiałem się nad starcami wsiadającymi na przystanku „Dalibora” od ręki zmieniłem obyczaj ustępowania miejsca. Zaparłem się i nie wstawałem na widok staruszek, staruszków i innych takich. Im bardziej jednak

utwierdzałem się w słuszności swego postępowania zaczęła się dziać rzecz dziwna. Wokoło mnie rozpoczął się istny festiwal prestidigitatorstwa starców. Schemat za każdym razem był dokładnie ten sam. Ja siedzę. Wsiada staruszka. Tramwaj rusza. Staruszka staje nade mną. Ja bezczelnie patrzę się jej w oczy. Staruszka odwraca ode mnie spojrzenie i wzdycha. Na chwilę puszcza się poręczy i... tramwaj ostro hamuje. Staruszka leci na drugi koniec wagonu, a cały jej dobytek za nią. Ja oglądam się za staruszką. Staruszka leży na ziemi, nie może się podnieść, jęczy, a wokoło leżą porzrzucone wszystkie jej klamoty. Na początku robi mi się nieswojo, ale za chwilę już nie jest mi nieswojo. Staruszka wstaje, podnosi swoje siatki i wysiada na następnym przystanku. Ja siedzę, jak siedziałem i jadę tramwajem dalej.

Kiedy tak przyglądałem się latającym po wagonie staruszkom, z biegiem czasu doszedłem do wniosku, że starość na pewno nie jest łatwa. I znowu zacząłem ustępować miejsca starcom.

SPIS UTWORÓW

Edward Derylak

UMARŁE MIASTO - 9 -

Alina Mendrala

SZEPTY DZIKIEJ RÓŻY - 25 -

Agnieszka Pogorzelska

OBSESYJNA DOSKONAŁOŚĆ ŻYCIA..... - 50 -

Maciej Rzymiski

* * * - 61 -

DENOMINACJA - 63 -

JAKOŚCI - 64 -

* * * - 65 -

JAZDA FIGUROWA - 66 -

Lechośław Cierniak

RENTGEN - 67 -

OPOWIADAŁ MI STARZEC - 68 -

O KOBIECIE - 70 -

JESIENNA IMPRESJA..... - 71 -

DZIEJOWY EPIZOD - 72 -

Izabella Degen

KRZYK (Z OBRAZU E. MUNCHA) - 73 -

TAJEMNICA OBRAZU..... - 74 -

IMPRESJA SENNA SALVADORA..... - 75 -

Anna Piliszewska

KOCHANKOWIE I GŁOGI - PODŁUG OBRAZU E. BURNE'A

MIEŁOŚĆ WŚRÓD RUIN..... - 76 -

„JARMARK” Z KRĘGU DAVIDA VINCKBOONSA - 77 -

POZNANIE ZMYŚLOWE..... - 78 -

Edyta Wysocka

INGERENCJA..... - 79 -

PROZAC - 81 -

WZIĘTE OD STEDA. Z NIM O CZŁOWIEKU - 83 -

Andrzej Chodacki	
* * *	- 85 -
Wanda Gołębiewska	
OKNO RENESANSOWE I.....	- 89 -
Marianna Spyra-Majewska	
NA MOŚCIE PRASKIM	- 90 -
Henryk Szomko	
POWRÓT DO POLSKI	- 91 -
Maciej Łopuszyński	
DALIBORA - PRZYSTANEK STARCÓW (fragmenty)	- 97 -

WYKAZ UCZESTNIKÓW

Lp	Nazwisko i imię	Miejscowość	Godło
1.	Mendrala Alina	Siedliska	Trojan, Chaber
2.	Woliński Jerzy	Warszawa	Haket
3.	Chodacki Andrzej	Parczew	Andrzejch
4.	Czuku Marek	Łódź	Czarny charakter pisma
5	Wysocka Edyta	Miastko	Cienie
6	Draus Dominika	Warszawa	Waga
7	Piliszewska Anna	Wieliczka	Ekspressis verbis
8	Edward Derylak	Żagań	Kamieniarz
9	Dziadosz- Habrowska Monika	Busko –Zdrój	Turkus
10	Charmuszko Tadeusz	Suwałki	Skorek, Trzmielina
11	Gołębiewska Wanda	Płock	Okno
12	Spyra-Majewska Marianna	Siedlce	Wiercipięta
13	Dziadak Justyna	Siedlce	JUDZIA
14	Borowski Andrzej	Siedlce	Lotos
15	Szomko Henryk	Siedlce	Markus, Syzyf
16	Rudnicka Krystyna	Siedlce	Wilga, Iwa
17	Degen Izabella	Wrocław	Gala
18	Gut Patrycja	Mirzec	Pati
19	Nowicki Bogdan	Świętochłowice	Smaragdina
20	Ziobrowski Andrzej	Nowa Huta	Okręt we mgle

21	Grajewska Małgorzata	Bydgoszcz	Śnieg z papieru
22	Rytelewska Maria	Myszków	Leming
23	Graca Lech	Płock	Triks
24	Kościuk Katarzyna	Biała Podlaska	Kość
25	Kołodziuk Marianna	Janów Podlaski	Wierzba
26	Pogorzelska Agnieszka	Warszawa	Spokój
27	Sobol Dominik	Terespol	Wilhelm Warowny
28	Łopuszyński Maciej	Warszawa	Vers
29	Rzymski Maciej	Łódź	Psyche
30	Wierzbicki Adam Bolesław	Lubsko	Na przełaj , Smak głodu
31	Cierniak Lechosław	Słupsk	Mak
32	Prządka Halina	Żelechów	Prawdziwa Ja

STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH „LIMES”

Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach
ogłasza

XXXVII KONKURS LITERACKI

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach:

- - poezji – zestaw 5 wierszy lub poemat **do 15 stron
znormalizowanego maszynopisu**
- - prozy – mała forma prozatorska **do 20 stron
znormalizowanego maszynopisu**

TREŚĆ I FORMA UTWORÓW DOWOLNE

Za najlepszy utwór związany tematycznie z Siedlcami przyznana zostanie nagroda specjalna.

Oddzielnie rozpatrywane będą prace studentów, prosimy więc zaznaczyć to na kopercie informacją „Student”

Prace konkursowe, nigdzie nie publikowane i nie nagradzane, w 4 egzemplarzach maszynopisu, **opatrzone godłem, wraz z kopertą podpisaną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora** (prace nie spełniające tych warunków zostaną pominięte), należy nadsyłać **do 28 lutego 2014 r. na adres:**

STUDENCKI OŚRODEK DZIAŁAŃ KULTURALNYCH „LIMES”
ul. Bema 1
08-110 Siedlce
z dopiskiem XXXVII Konkurs Literacki

Ogłoszenie werdyktu Jury powołanego przez organizatora i rozdanie nagród odbędzie się jesienią 2014 r.

Konkurs odbywa się pod patronatem
PREZYDENTA MIASTA SIEDLCE

Nagrodzone i wyróżnione prace zostaną opublikowane
w pokonkursowym wydawnictwie zwartym.

Zapraszamy do udziału!